

CZYTA-
NIE

PO-

MORZA

CZYTANIE POMORZA

LITERACKI
PRZEWODNIK
PO REGIONIE

#1

REDAKCJA:
KATARZYNA BANUCHA
BARTOSZ FILIP

NADBAŁTYCKIE
CENTRUM
KULTURY
W GDAŃSKU

GDAŃSK 2016



12 | WYCIECZKA 1
Daniel Odija



36 | WYCIECZKA 2
Magdalena Grzebatkowska



66 | WYCIECZKA 3
Andrzej Kasperek



94 | WYCIECZKA 4
Krystyna Chwin



Fot. archiwum UMWP

To już kolejna edycja Festiwalu Literackiego Czytanie Pomorza! Nadbaltyckie Centrum Kultury – wierne swemu powołaniu i nazwie – nie po raz pierwszy zaprasza swoich współpracowników i bywalców do intelektualnej wyprawy w głąb naszego regionu, tym razem penetrując dawne i nowe literackie przedstawienia naszej krainy, jej burzliwej (i fascynującej!) historii, osobnej kultury, specyfiki etnicznej, wreszcie silnych związków z morzem. Województwo pomorskie w obecnym kształcie to prawdziwy konglomerat podregionów zróżnicowanych geograficznie, kulturowo i (niestety!) ekonomicznie, choć spojonych wewnątrz korzeniami wspólnej historii, a przede wszystkim współczesności.

Ta wyprawa w głąb Pomorza, którą proponuje nam Nadbaltyckie Centrum Kultury, to nie tylko literacka przerośnia, gdyż uczestnicy dotychczasowych edycji festiwalu – pod przewodnictwem znanych autorów – mieli okazję odbywać „literackie wizje lokalne” w różnych zakątkach naszego województwa. Owocem tych penetracji i poszukiwań jest niniejsza publikacja, swoisty pomorski przewodnik literacki, pokazujący, jak wiele ciekawych literackich zjawisk czeka jeszcze na swoje odkrycie, a także – jak wiele pozostało jeszcze „do napisania”.

Czytajmy zatem Pomorze – gdyż arcyciekawe opowiada nam historie. Od męczeństwa św. Wojciecha, po gdański Sierpień 1980 roku. Jeszcze wiele pozostało do przeczytania. I do napisania.

Mieczysław Struk
Marszałek Województwa Pomorskiego



Fot. archiwum NCK

Zgodnie z misją, do jakiej zostało powołane, Nadbaltyckie Centrum Kultury w Gdańsku konsekwentnie przygotowuje i wdraża projekty promujące kulturę regionu. Festiwal literacki „Czytanie Pomorza” jest jednym z najważniejszych.

Poszczególne edycje tego wydarzenia powstają, opierając się na hasle przewodnim (2014: „Biblioteka”; 2015: „Korzenie”), którego analiza stanowi punkt wyjścia do interdyscyplinarnych działań. Bez względu jednak na aktualnie interpretowane hasło, tworząc program festiwalu przede wszystkim staramy się podkreślać, że literatura jest procesem historycznym. Skomplikowane dzieje wielokulturowego regionu znajdują swoje wyraźne, bardzo często bezpośrednie, odzwierciedlenie w utworach współczesnych; jednocześnie tematy, wokół których skupiała się najdawniejsza nawet literatura pomorska, okazują się ważne i aktualne także dziś.

Każda kolejna odsłona festiwalu przynosi nowe „odczytanie”. Powoli wyłania się wieloaspektowy, coraz bardziej kompletny i zrozumiały obraz Pomorza – małego uniwersum. Uważam, że to właśnie stanowi o wartości i wyjątkowości naszego festiwalu.

Zachęcam Państwa do wspólnej lektury Pomorza.

Lawrence Ugwu
Dyrektor Nadbaltyckiego Centrum Kultury



Fot. Maciej Moskwa

Czytanie to nie tylko samotne spotkanie z książką. To także doświadczenie wspólnotowe. To nie tylko kartka papieru czy ekran czytnika, ale też rzeczywista, doświadczalna przestrzeń, przez literaturę interpretowana i na literaturę oddziałująca. Niniejsze wydawnictwo to inauguracja serii, stanowiącej propozycję podróży przez historię i piśmiennictwo Pomorza.

Pomysł stworzenia przewodnika wynika z chęci stworzenia mapy miejsc, które warto odwiedzić oraz tekstów, które warto poznać i zapamiętać. W 2015 roku w ramach festiwalu literackiego „Czytanie Pomorza. Korzenie” zorganizowaliśmy cztery wyprawy, których ta książka jest dokumentacją.

Czytanie Pomorza trwa nadal, bo ile przewodniczek i przewodników, tyle indywidualnych literackich, ale także topograficznych odkryć i fascynacji. Przewodnik, który trzymacie Państwo w rękach, może być oryginalną propozycją poznawania naszego regionu, a dla pasjonatów literatury – szansą na odmienne z nią spotkanie.

Zapraszamy do lektury i podróżowania!

Katarzyna Banucha
Bartosz Filip
Kuratorzy „Czytania Pomorza”

DANIEL ODIJA

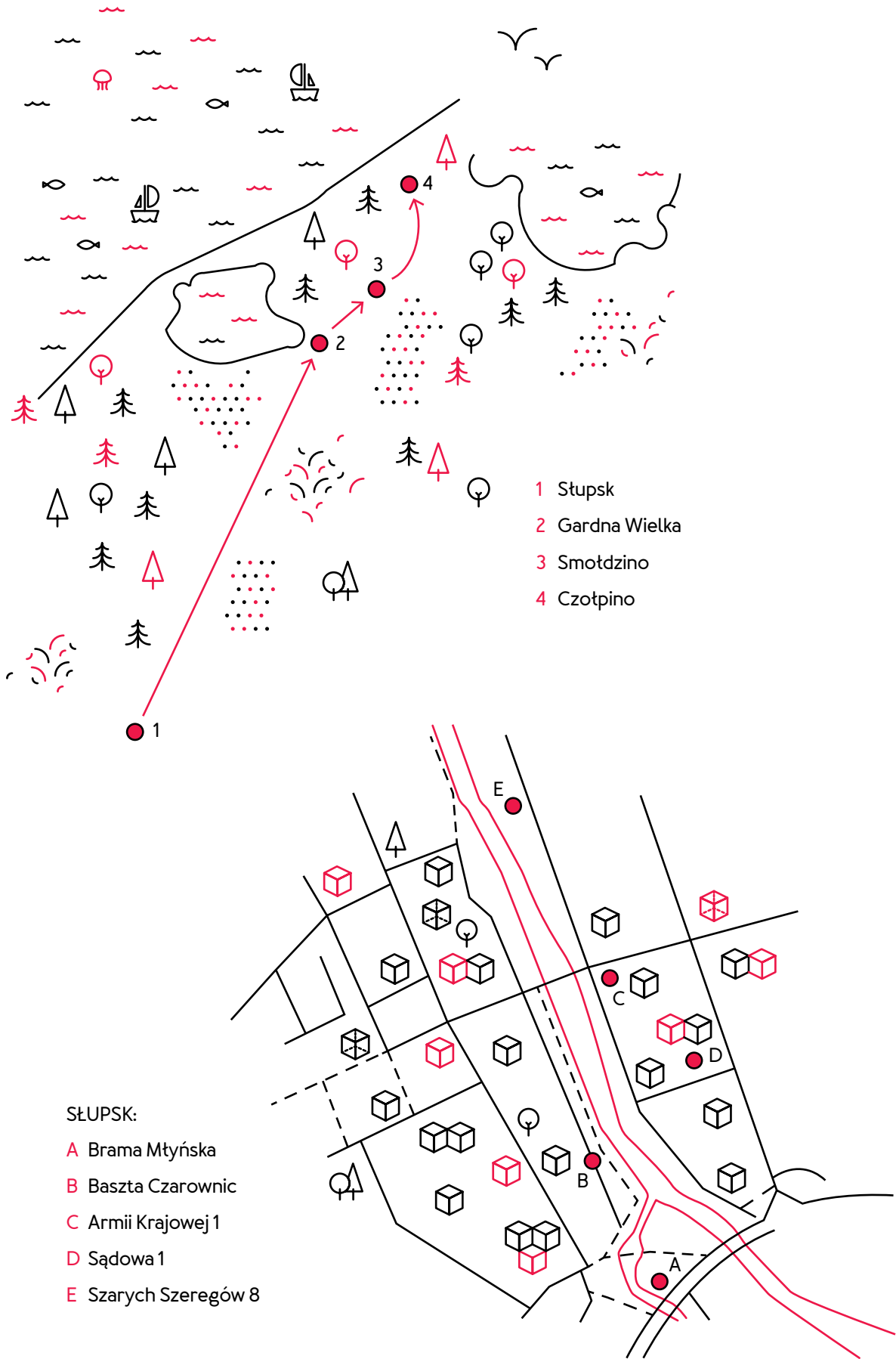
Prozaik, dziennikarz, bibliotekarz. Mieszka w Słupsku. Autor zbioru opowiadań *Szklana huta* (2005) oraz powieści *Ulica* (2001), *Tartak* (2003), *Niech to nie będzie sen* (2008) i *Kronika umarłych* (2010). *Tartak* i *Kronika umarłych* były nominowane do Nagrody Nike. Autor słuchowisk i projektów multimedialnych.



Fot. Anna Maria Brniecka

Przez Pomorze Środkowe z Danielem Odiją

Wprowadzenie



- 1 Stupsk
- 2 Gardna Wielka
- 3 Smotdzino
- 4 Czotpino

SŁUPSK:

- A Brama Mtyńska
- B Baszta Czarownic
- C Armii Krajowej 1
- D Sądowa 1
- E Szarych Szeregów 8

Moje Pomorze to Stupsk i okolice. Jestem związany z tymi terenami od urodzenia i jak na razie nie mam zamiaru się nigdzie wyprowadzać. Fascynuje mnie nie tylko geografia tego miejsca – bliskość morza, lasy, pola i niedalekie jeziora – równie ważne jest dla mnie poznawanie historii tych ziem, rozciągniętej między niemiecką przeszłością a polską teraźniejszością. Swoją literacką wycieczkę ułożyłem na podstawie fragmentów prozy mojego autorstwa i swobodnej interpretacji legend i podań, zebranych i spisanych w XIX wieku przez niemieckiego etnografa Ottona Knoopa. Korzystałem też z *Baśni regionu stupskiego* Jolanty Nitkowskiej-Węglarz.

Stupsk lśni słońcem. Przaśne podanie o Krzysztofie, strażniku Bramy Mtyńskiej, może wywołać śmiech i lekką konsternację, bo poczucie humoru zawarte w tej legendzie nie należy do wysublimowanych. Trasa wzdłuż rzeki Stupi i murów obronnych jest okazją do opowiedzenia legendy o zatopionym w wodach rzeki zamku oraz diabelskim wartowniku, który złożył się z czartem o własną duszę. Przystanek przy Baszcie Czarownic pozwala przypomnieć tragedię Katrin Zimmermann, znanej jako Trina Papisten. Przejście obok budynku, w którym dziś mieści się Młodzieżowy Dom Kultury, będzie okazją do przybliżenia uczestnikom wycieczki prawdziwej historii rodziny von Hohendorffów, która mieszkała w niemieckim Stolpie.

Po zwiedzeniu Stupsk warto pojechać nad jezioro Gardno, pośrodku którego znajduje się kamienna wyspa – z miejscem koresponduje legenda o rybaku, który zawarł pakt z diabłem. Kolejnym przystankiem naszej wycieczki jest Rowokót – święta góra Stowińców. Z górą związane są liczne mity i legendy – o zatopionych dzwonach, gorejących pieniądzech, przerzucanych głazach, skarbie piratów Bandemerów... Na szczycie Rowokotu znajduje się wieża widokowa. Uczestnicy wycieczki mogą podziwiać z niej rozległą panoramę Pomorza Środkowego, która daje pojęcie o pięknie tej ziemi. Zejście ze świętej góry Stowińców pogłębia oddech. Stąd już niedaleko nad upragnione morze.



W drodze do Stupska. Fot. Maciej Moskwa

W drodze do Słupska

DANIEL ODIJA, *Tartak* (fragm.)

Tutaj z dwóch stron nachyla się las. Drzewa są tak blisko, że ocieniają okna. Pozostałe strony świata otwierają się na pola. Pola są płaskie jak tafla jeziora, jeśli jest lato. A jeśli zima, pola są płaskie jak lodowiska. Wzrok ślizga się po nich i rozbija o własne ograniczenia, które nie pozwalają zobaczyć dalej, poza horyzont. Od horyzontu zawsze wieje wiatr. Rozpędza się na odkrytej przestrzeni i uderza na odlew w twarz. Wyciska tży i nie jest to przyjemne.

Zaorane pola są puste. Na takich polach ziemia jest lżejsza. Nie trzymana przez żadne korzenie. Z takiej ziemi wiatr skręca ulotne wiry. Nie istnieją dłużej niż pojedynczy podmuch. Unicestwia je chwila na nabranie oddechu i kurz bezwładną falą sypie się w dół, wygładzając blizny zadane przez orkę.

Dużo tu pól obsianych zbożem – trochę pszenicy, prosa – albo rzepakiem. Wtedy przed oczami robi się żółto. Zapach rzepaku jest tak silny, że przechodzi w duszący smród. Kiedyś jedna dziewczyna weszła w takie pole. Szybko zmorzył ją sen, z którego już nigdy się nie obudziła. Znalaziono ją po kilku dniach. A całe nieszczęście przez odurzającą woń rzepaku.

Są też pola truskawkowe. W upalne dni lata kobiety z różnych stron zwabia zapach owoców, za zebranie których dostają grosze potrzebne na chleb. Kobiety tkwią, schylone do ziemi – i nie ma nic pociągającego w ich wypiętych tytkach. Są zmęczone. Słońce parzy im głowy, a pot zwabia owady, które lepią się do skóry i wgryzają w ciało. Przez te kilkanaście godzin, od piątej rano do wieczora, kobiety widzą tylko ziemię i zielone krzaczki. Delikatnie zrywają z nich truskawki. Nie można ich zgnieść. Zapach ziemi staje się nie do zniesienia, zwłaszcza że słońce wciąż parzy, a kurz wysusza gardło. Chciałoby się wypluć coś, czego tak naprawdę nie ma. Brakuje śliny. Jeść się nie chce.

Kobiety nie plotkują. Szkoda sił na słowa. Zapętniają koszyki w milczeniu. Dłonie mają zabarwione czerwonymi plamami, które nie zejną jeszcze przez kilka godzin. W nocy cicho pojękują. To odzywają się kości. Bołą, jakby obudziło się w nich życie. Jakby z tego bólu chciały wybrać się na wycieczkę, pozostawiając na tóżku bezwładny worek peten żyt i mięśni. Zmęczenie jednak jest tak wielkie, że pomimo bólu zapadają w krótkie, nerwowe drzemki. Co jakiś czas zrywają się, złane potem. W snach też harują na polu.

Sny kończy początek dnia. I znowu wszystko od nowa. Trzeba tylko wykonać nieco inne czynności, w nieco innych okolicznościach. Zacznie padać albo będzie większy upał. Może się ochłodzi, a w końcu dojdzie do tego, że wyschną liście i spadnie śnieg. Zamiast truskawek będzie wybieranie kamieni albo zbieranie jagód w lesie. W każdym razie dzień skończy początek nocy.

Ale w nocy pola wywołują strach, który przeszkadza w oddychaniu. Bo pusto jest przed nami i pusto za nami, nad głową przestrzeń, której obawia się wyobraźnia, a stopy stoją na ziemi, która od zawsze ma na nas ochotę.

Brama Młyńska (ul. Dominikańska 5–9, Słupsk)

Wzniesiona w XV wieku z cegły, stanowi część obwarowań miasta. Nazwano ją tak ze względu na sąsiedztwo młyna wodnego.

PODANIE O KRZYSZTOFIE, STRAŹNIKU BRAMY MŁYŃSKIEJ
(na podstawie legendy spisanej przez Ottona Knoopa)

Przy Bramie Młyńskiej petnił wartę gruby młodzieniec o imieniu Krzysztof, który każdego dnia obzerał się grochem i wieprzowiną. Od przejedzenia ciągle miał biegunkę i był cały ubrudzony od pasa w dół. Dzieci przychodzące do miasta po raz pierwszy musiały całować Krzysztofa w wiadome miejsce, a czasem wylizywać do czysta! Ale jeśli udało się im przemknąć niepostrzeżenie, strażnik nie mógł domagać się, by spetniły wobec niego odstręczającą usługę.

Słupsk, przy Bramie Młyńskiej. Fot. Anna Maria Błyniecka



Trasa wzdłuż rzeki Stupi (kaszb. *Stëpiô*, niem. *Stolpe*)

Rzeka w środkowej części Pomorza, powierzchnia zlewni 1620 km², długość 138 km.

LEGENDA O ZATOPIONYM ZAMKU

(na podstawie legendy spisanej przez Ottona Knoopa)

W dawnych czasach nad Stupią stał zamek. Z powodu występku popełnionego przez jego mieszkańców został rzucony na niego czar. Kasztel zatonął w rzece. Ale raz na sto lat wynurzał się. I wynurzył się też, gdy brzegiem rzeki szedł młody żołnierz. W bramie zamku stała piękna księżniczka, która dała mu złotą monetę i powiedziała, że jeśli kupi jej czerwone trzewiczki, to w ten sposób zdejmie czar z zamku i mieszkańców. Postawiła jednak warunek: przy zakupie bucików żołnierz nie może się targować. Żołnierz jednak nie dotrzymał słowa i wynegocjował niższą cenę za czerwone trzewiki. Gdy pochwalił się przed księżniczką sprytem, dzięki któremu oszczędził na zakupie, dziewczyna krzyknęła rozpaczliwie, że klątwa wciąż będzie trwała i kolejna okazja, by ją zdjąć, nadejdzie dopiero za sto lat. Zamek zapadł się ponownie pod wodę.



Stupia. Fot. Maciej Moskwa

Stupskie mury obronne i Baszta Czarownic (ul. Francesco Nullo 8, Stupsk)

Mury wzniesiono w XIV wieku z cegiel i kamieni polnych. Do czasów dzisiejszych z ciągu o długości 2400 m zachowały się niewielki fragment przy ul. Jagietty, Baszta Czarownic i resztki baszty więziennej przy ul. Francesco Nullo. Najwyższe zachowane partie mają 6,5 m wysokości i 1 m grubości. Baszta Czarownic wzmocniła obwarowanie z XIV wieku, które powstało w miejscu palisady. W XVII wieku wewnątrz baszty przekształcono na więzienie dla kobiet. W czasie śledztwa, polegającego na zadawaniu tortur, kobiety posądzano o czary i przetrzymywano do egzekucji – spalenia na stosie.

LEGENDA O DIABELSKIM WARTOWNIKU

(na podstawie *Baśni regionu stupskiego* Jolanty Nitkowskiej-Węglarz)

Była mroźna i śnieżna zima. Johann Szulc stał na warcie w Baszcie Czarownic i narzekał na swój los. Gdy tylko powiedział, że w zamian za gorzałkę w ciepłej karczmie poszedłby na ugodę nawet z diabłem, natychmiast zjawił się obok niego czart, który dał mu do podpisania cyrograf. Za oddanie duszy czart miał zastąpić mężczyznę na warcie i zapewnić mu siedem lat bogactwa. Johann podpisał umowę. I jeszcze jedno. Przez te siedem lat Szulc nie mógł się myć, strzyc ani obcinać paznokci. Dostał diabelski worek, którym wystarczyło potrząsnąć, aby posypały się z niego bogactwa.

Siedem lat minęło Johannowi na obżarstwie i pijaństwie. Tymczasem diabeł nie schodził z warty. W ostatni dzień hulanki Szulc był zarośnięty jak zwierzę. Poszedł do karczmarza i obiecał mu bogactwa, jeśli odda mu za żonę jedną z trzech córek. Zgodziła się najmłodsza, która wręczyła mu złoty pierścionek, a on do wielkiego kotta nasypał złotych talarów.

Johann wrócił do diabła, ale wymógł na nim umorzenie umowy w zamian za zejście z warty. Diabeł zgodził się na wszystko, byle już nie być wartownikiem. W ten sposób Johann był wolny i bogaty. Ogolił się i ostrzygł u wojskowego golibrody i oddał mu całe swoje złoto. Gdy przyszedł do córki kramarza, nie poznała go, bo stanął przed nią czysty i przystojny młodzieniec. Wtedy Johann pokazał pannie złoty pierścionek. Tak żołnierz znalazł dla siebie żonę.



Baszta Czarownic w Słupsku. Fot. Jacek Labijak

TRAGEDIA KATRIN ZIMMERMANN, ZNANEJ JAKO TRINA PAPISTEN

W roku 1701 po wielodniowych torturach w przeklętej baszcie Katrin Zimmermann została uznana za czarownicę i spalona na stosie. Według najpopularniejszej wersji podania kobieta była zielarką mieszkającą przy ul. Piekietko, a oskarżono ją o czary, ponieważ jej mieszanki ziółowe sprzedawały się lepiej niż leki w miejscowej aptece. Według drugiej wersji była żoną rzeźnika, a mięso z ich sklepu było najchętniej kupowane. Sprzedawcy postanowili pozbyć się konkurencji i handlarkę mięsem oskarżyli o czary. Jest też trzecia wersja tej tragicznej historii. Miasto nawiedzały pomory, które zabijały ludzi i domowe zwierzęta. Epidemie nie dotykały jedynie gospodarstwa Katrin Zimmermann. To wystarczyło, by ludzie zrzucili na nią odpowiedzialność za nieszczęścia dotykające Stolp.

Mój rodzinny dom (ul. Armii Krajowej 1A/1, Słupsk)

Dzieciństwo spędziłem w poniemieckiej kamienicy przy ul. Pawła Findera, w wolnej Polsce przemianowanej na Armii Krajowej. Tylko kilka wspomnień włączyłem do *Ulicy*, mojego literackiego debiutu. Jak choćby to, że codziennie widziałem z okna pewien napis, który widniał na ścianie przeciwległej kamienicy.

DANIEL ODIJA, *Ulica* (fragm.)

Ci, co malowali ulicę na nową, nie kochali jej. Zsiniaty róż mieszał się z tannim fioletem i wyblakła żółcią. Plamy nierówno położonej farby tworzyły lizjaje i zacieki. Pęknięcia rozkruszały powierzchnię murów. Nie zachęcało to do pracy.

A jednak znaleźli się ludzie z powołaniem. Na odnowionych ścianach pojawiły się napisy. Farby w spreju rozpylały hasła, z których jedno, „WITAJ W KRAINIE, GDZIE OBCY GINIE”, sugestywnie wprowadzało w zwyczaj panujące na ulicy.

Dom rodzinny Daniela Odiji. Fot. Maciej Moskwa



Budynek aresztu śledczego w Słupsku (ul. Sądowa 1)

Przez całe dzieciństwo bawiłem się na podwórku, rozciągającym się pomiędzy moją kamienicą a garażami, za którymi wznosił się budynek aresztu śledczego. Nigdy nie zapomnę buntu więźniów w 1991 roku, który opisałem w debiutanckiej powieści.

DANIEL ODIJA, *Ulica* (fragm.)

Więźniowie wybiegli na dach aresztu i zaczęli zrzucać świece dymne w dół i w stronę wieży strażnika. Po ulicy rozszedł się gaz paraliżujący. Ktoś stracił przytomność. Przyjechało pogotowie. Strażnik przyglądał się wszystkiemu spokojnie. Nie było widać jego twarzy, bo teraz została ukryta pod końskim pyskiem maski przeciwgazowej. Więźniowie coś tam krzyczeli o polepszeniu warunków, ale zawiął wiatr i zastoniła ich chmura gryzącego dymu. Cegielską zaczęły szczypać oczy. Pośpiesznie zamknęła okno i podeszła do telewizora. Znalazła program lokalny i transmisję na żywo z tego, co działo się za jej oknem. Wprawito ją to w nastrój lekkiej euforii. Rozsiadła się wygodnie w fotelu i przegryzając solonymi paluszkami, wpatrywała się w wieżę strażnika.



Areszt śledczy w Słupsku. Fot. Maciej Moskwa

Budynek Młodzieżowego Domu Kultury (ul. Szarych Szeregów 8, Słupsk)

Gdy Słupsk był niemieckim Stolpem, w tym budynku mieszkała rodzina von Hohendorffów. Ojciec był szefem nazistowskiej Służby Pracy, trójka synów należała do Hitlerjugend i Wehrmachtu, matka była gospodynią domową, popierającą we wszystkim swojego męża. Rodzina Hohendorffów poniosła najsurowszą karę za wiarę w nazistowską ideologię. Synowie zginęli na wojnie, matkę zabił nowotwór, ojca prawdopodobnie zamordowali czerwonoarmiści, którzy wkroczyli do Stolpu 8 marca 1945 roku.

Życie Hohendorffów poznałem z amatorskich filmów, które rodzina nagrywała w latach 1933–1936. Był czas, że pracowałem w słupskiej redakcji telewizyjnej TVP. Wtedy to odwiedziło nas dwóch mężczyzn, od których wionął charakterystyczny zapach taniego wina. Za drobną opłatą, oczywiście na flaszkę, wręczyli nam trzy szpule z przedwojenną taśmą AGFA. Ruchomy pamiętnik, jaki ukazał się naszym oczom, składał się z krótkich scenek rodzinnych: zabaw, świąt i wspólnego wypoczynku. Film ten zainspirował mnie do rozwinięcia jednego z wątków w mojej powieści *Kronika umartych*. Historia zwykłej, kochającej się rodziny, którą zaślepiła hitlerowska ideologia, stała się jednym z kamyków dorzuconych do stosu mojej osobistej mitologii Pomorza Środkowego...

DANIEL ODIJA, *Kronika umartych* (fragm.)

Piknik nad morzem, Gero i Dieter skaczą i turlają się z dwudziestometrowych wydm. Ze śmiechem ciągną matkę za nogi, a piasek podwija jej śliczną sukienkę w kwiaty. Strugi piasku wyglądają jak cieniutkie wodospady... Na tym samym pikniku Jakub z uśmiechem, nieporadnie przytula Friedę. Przypomina cyrkowego niedźwiedzia. Ścisła i szarpie żonę niczym zawstydzony młodzieniaszek, który nie wie, jak dać do zrozumienia dziewczynie, że zrobiłby dla niej wszystko.

W kolejnej scenie trójka synów nachyla się nad grubą księgą, w której ojciec coś zapisuje. Obserwują go w niemal religijnym skupieniu. To kronika rodowa, z drzewem genealogicznym, krótkimi zapisami i dokumentami, z których najstarsze pochodzą z początku osiemnastego wieku...

Później Gero i Dieter bawią się w żydowskiego bandytę i sprawiedliwego obywatela. Dieter, w marynarce, berecie i okularach, z pistoletem w dłoni próbuje wejść z balkonu do mieszkania, ale z ukrycia wyskakuje nagle Gero

przebrany w mundur Hitlerjugend i wyćwiczonym chwytem unieruchamia Dietera-Żyda, wytrącając mu z ręki pistolet. Zanim Dieter-Żyd zdąży się zorientować, Gero Sprawiedliwy chwyt pistolet i celuje w bandytę. Dieter-Żyd rozkłada ręce w komicznym geście błagania o litość, ale Gero Sprawiedliwy zaczyna poruszać ręką z pistoletem tak, jakby strzelał...

Wreszcie Hans grający z jakimś kolegą w tenisa. A teraz Gero. Śmiesznie serwuje. Nie dlatego, że nie umie, tylko ten przyspieszony obraz...

Wszystkie te sceny przetykane były ujęciami zapasów Gera i Dietera, turlających się po trawie czy piasku. Gero zawsze był górą, ale Dieter wierzył, że w końcu pokona starszego brata.

Aż nastąpił rok 1936. Rozmowa na balkonie. Trzej młodzi mężczyźni [...] stoją ubrani w podkoszulki i popijają ze szklanek. Co chwilę wybuchają radosnym śmiechem. Wtórąje im brzydka dziewczyna w okrągłych okularach. Trochę z boku stoi Hans i pali papierosa. Zamyślony spogląda w stronę parku Bismarcka.

Wciąż balkon, ale oko kamery wypatrzyło tym razem siedzących na ławeczce pod ścianą Dietera i matkę. Dieter ma jakieś siedemnaście lat. Z poważną miną czyta na głos, a Frieda dyskretnie wyciera chusteczką zatławione oczy. Agacie nie udało się rozszyfrować tytułu książki, nawet na stop-klatce. Jakie słowa doprowadziły Friedę do płaczu? Czy to była poezja...



Młodzieżowy Dom Kultury w Słupsku. Fot. Maciej Moskwa

Jeziro Gardno (dawniej Jezero Gardeńskie, kaszb. *Gardno*, niem. *Garder See*).

Jeziro przybrzeżne położone na Wybrzeżu Słowińskim w województwie pomorskim. Od Morza Bałtyckiego oddzielone piaszczystą mierzeją, przeciętą przepływającą przez Gardno rzeką Łupawą. Ma powierzchnię 2469 ha i maksymalną głębokość 2,6 m. Wchodzi w skład Słowińskiego Parku Narodowego. W obrębie akwenu jeziora znajduje się rezerwat Wyspa Kamienna. Można zatrzymać się np. w miejscowości Gardna Wielka.

JEZIORO GARDNO I KAMIENNA WYSPA (na podstawie legendy spisanej przez Ottona Knoopa)

Pewien rybak zawarł pakt z diabłem, na mocy którego odda mu swą duszę, jeśli bies w najgłębszym miejscu jeziora wybuduje kamienny kościół. Budowla miała być wzniesiona w ciągu jednej nocy, przed pierwszym pianiem kogutów. Rybak był przekonany, że diabeł nie podobał się zadaniu i w spokoju ducha położył się spać. W nocy obudził go hałas – to czart zaprzął do pracy wszystkie moce piekielne i kościół stał już prawie ukończony, a do świtu jeszcze było daleko. Diabeł z brzegu jeziora nadzorował pracę – jego kopyto odcisnęło ślad w kamieniu. Rybak przeraził się, że przegra zakład i straci duszę. Zapiął jak kogut, co obudziło kuraki w całej wiosce, które zaczęły hałasować. Diabeł przegrał zakład i z wściekłości zniszczył kościół, a kamienie wrzucił do jeziora. Tak powstała kamienna wyspa.

W innej wersji podania pewna bogata panna postanowiła zawrzeć z diabłem pakt, na mocy którego ten miał wybudować pośrodku jeziora kaplicę. Gdy czart zorientował się, że przegra zakład, wywołał burzę. Fale morskie wtargnęły do rzeki Łupawy, która wpływa do jeziora Gardno, i zniszczyły budowlę.

Legendy legendami, ale nad jeziorem Gardno wisi przekleństwo wody, która pochłonięta wiele ofiar. Między innymi 18 lipca 1948 roku miał tu miejsce wypadek, który pochłonięta 25 osób. Ofiarami były 22 nastoletnie harcerki z Łodzi, organizatorka ich obozu w Gardnie Wielkiej, żona przewoźnika, oraz miejscowa kobieta zatrudniona w obozowej kuchni. A cała tragedia

rozegrała się przez nieodpowiedzialność miejscowego przewoźnika, który w dwóch łódkach (jedna z silnikiem, a druga na holu) mogących w sumie pomieścić maksymalnie 21 osób, umieścić 40 osób. W czasie rejsu do Rowów zerwał się wiatr i fala wywróciła łódki...

Góra Rowokót (niem. *Revekol*)

Wzgórze polodowcowe o wysokości 114,8 m n.p.m. na Wybrzeżu Stowińskim, w woj. pomorskim, w powiecie słupskim, w gminie Smotdzino, w odległości 6 km od morza. Znajduje się w strefie ochronnej Stowińskiego Parku Narodowego. Dostęp z miejscowości Smotdzino.

LEGENDY O ROWOKOLE

(na podstawie legend spisanych przez Ottona Knoopa)

W drodze na szczyt góry znajduje się zagłębienie porośnięte świerkami. Podobno mieli tu kryjówkę zbójcy. Nazywano to miejsce Zbójeckim Gniazdem – Rewerkuhl. Podczas niedzielnych nabożeństw diabeł pokazuje tu swoje sztuczki.

W dawnych czasach na wybrzeżu w okolicach Rowów rozbił się statek piracki. Uratowało się tylko dwóch chłopców. Zaopiekowała się nimi miejscowa ludność. Gdy podrośli, zamieszkali na Rowokole i stąd panowali nad całym wybrzeżem. Mieli kilka statków pirackich. Ludzie nazywali ich Bandemerami (morską bandą). Niektórzy mówią, że gdzieś w górze Rowokót ukryty jest piracki skarb Bandemerów.

Na Rowokole stała kiedyś kaplica. Gdy ją rozbierano, dzwon stoczył się z góry i wpadł do rzeki Łupawy. Jeszcze do niedawna było słychać dźwięki dzwonu unoszące się z wód rzeki.



Jezioro Gardno. Fot. Anna Maria Binięcka



W drodze na Rowokót. Fot. Anna Maria Binięcka

Epilog

Podróż warto zakończyć nad otwartym morzem, zostawiając samochód np. w miejscowości Czotpino. Stamtąd już tylko kilka kroków przez las na plażę.

DANIEL ODIJA, *Morze/Koda*

Bo morze to fizyczny odpowiednik czasu,
a czas jest morza metafizycznym odbiciem.
Tak samo się nie zaczynają jak kończą. Rozległość stanowi ich byt.
Zanurzamy się w nich równie pozornie – na chwilę.
Czasami wzburzają się, czasami cichną, ale są niezniszczalne.

Spróbujmy objąć morze i czas – nie starczy nam ramion.
W przeciwieństwie do mózgu, który mieści się w dłoni,
czas i morze nie mieszczą się w mózgu.

Szpecially jesienią, gdy plaże są puste i człowiek jest sam z morzem i kłującymi jak igły krzykami mew. Szpecially wtedy można zwątpić o sile krwi przepychającej się w naszych żyłach.

Szpecially jesienią, gdy plaże są puste i człowiek jest sam z morzem i kłującymi jak igły krzykami mew. Szpecially wtedy można zwątpić o sile krwi przepychającej się w naszych żyłach.

Zainteresowanych odsyłamy do tekstów:

- O. Knoop, *Legendy pomorskie*, Gdynia 2013
- J. Nitkowska-Węglarz, *Baśnie regionu stupskiego*, Stupsk 2002
- D. Odija, *Kronika umartych*, Warszawa 2010
- D. Odija, *Tartak*, Wołowiec 2003
- D. Odija, *Ulica*, Wołowiec 2001



Czotpino, nad otwartym morzem. Fot. Maciej Moskwa



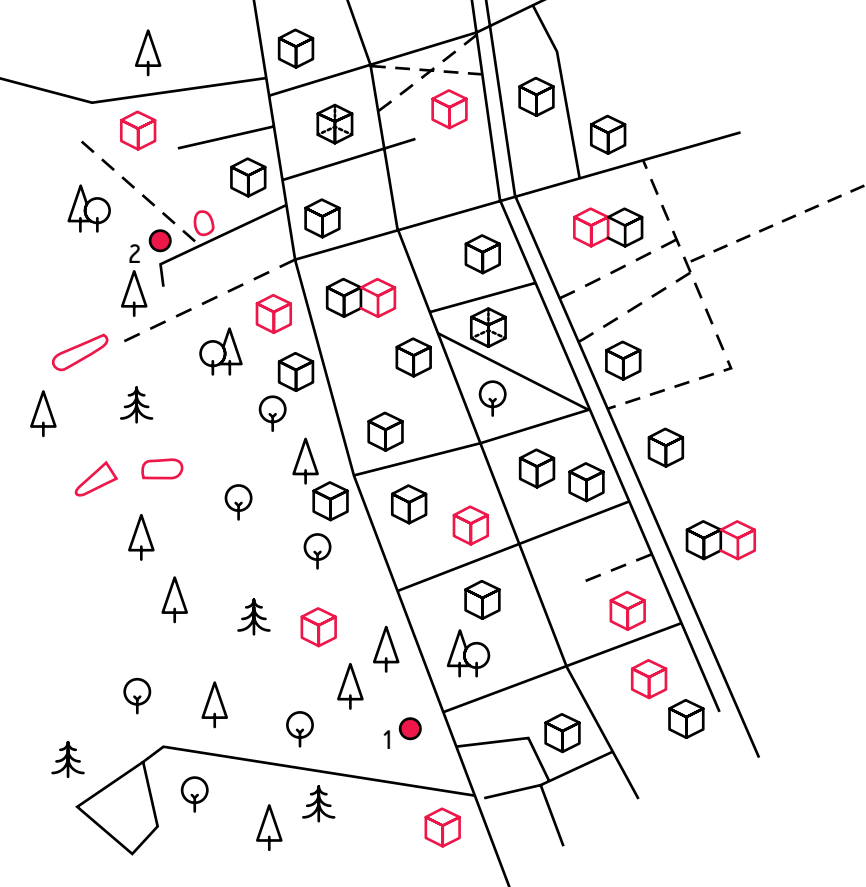
Fot. Maciej Moskwa

Pisarka, reporterka „Gazety Wyborczej”. Ukończyła historię na Uniwersytecie Gdańskim. Autorka książek: *Książd Paradoks. Biografia Jana Twardowskiego* (2011), bestsellerowej biografii Zdzisława i Tomasza Beksińskich *Beksińscy. Portret podwójny* (2014) oraz reporterskiej opowieści 1945. *Wojna i pokój* (2015). Mieszka w Sopocie.

Przez Trójmiasto z Magdaleną Grzebałkowską

MAGDALENA
GRZEBAŁKOWSKA

Wprowadzenie



GDAŃSK:

- 1 Polanki 122
- 2 Polanki 125

Wszystko przez roztargnienie. W lutym zadzwonił mój telefon. Za oknem padał deszcz ze śniegiem. Odebrałam połączenie. To była Kasia Banucha z Nadbaltyckiego Centrum Kultury: „Wyobraź sobie czerwiec, słońce i grupę ludzi, których oprowadzasz po Trójmieście śladami literatury. Dokąd byś z nimi poszła?”. „No jak to? Wszędzie. Najpierw do Joanny Schopenhauer przy ul. Polanki w Gdańsku, potem do Moniki Żeromskiej w Sopocie. A w Gdyni popatrzylibyśmy sobie, jak odbija od brzegu w swój ostatni rejs okręt Gustloff” – myślałam głośno. Widocznie za głośno, bo nie usłyszałam, jak Kasia pyta, czy w takim razie zgodzę się oprowadzić wycieczkę tą trasą. W roztargnieniu powiedziałam: „Tak, tak”.

I w ten sposób zostałam jednodniową przewodniczką czerwcową. Jak ważka. [Która podobno żyje jeden dzień, ale – jak sprawdziłam przed chwilą w Wikipedii – to nie jest prawdą, bo ten drapieżny owad żyje nawet i cztery miesiące].

Od początku wiedziałam jedno: że pójdziemy tam, gdzie sama zawsze chciałam iść, ale czasu nigdy nie starczało. A co tam. Skoro mnie się coś podoba, może polubią to inni?

I że będzie to niespójna wyprawa, którą życzliwi Włosi mogliby nazwać tutti frutti, a niezyczliwi ludzie „chaotyczną”, bo miała być w niej i powieść, i poezja, literatura dziecięca i reportaż.

Mieliśmy pójść tropem miejsc opisanych w literaturze, często używać wyobraźni, bo niektóre istniały tylko na papierze.

Wyglądałam na pewną siebie. Prawda jednak jest taka, że panikowałam.

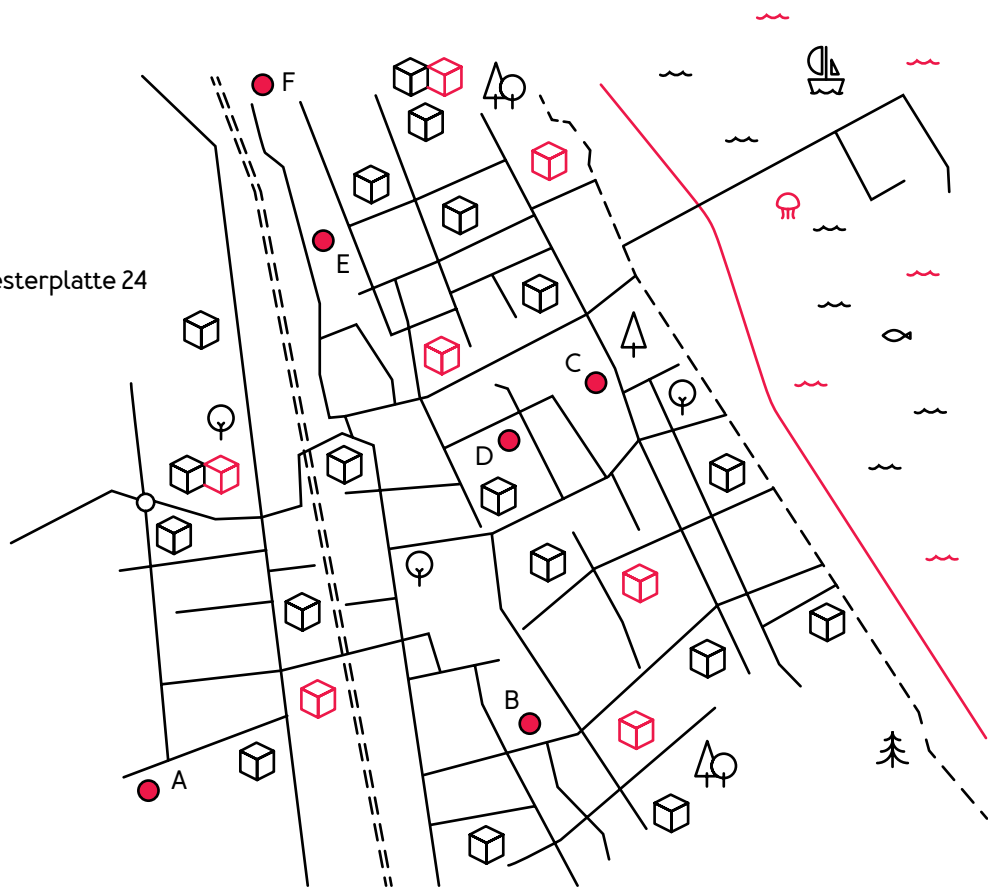
Wdech. Wydech. Co ja powiem ludziom? Wdech. Dokąd jeszcze iść z nimi? Wydech. Przecież będę ich nudzić. Wdech. A tak w ogóle to na pewno nikt nie przyjdzie. Wydech.

Dzień P [jak Przewodniczka] nadchodził nieubtąganie jak morderca w kryminale Katarzyny Bondy. Nie wiedziałam jeszcze, że życie przerośnie literaturę, a nam przyjdzie stoczyć walkę ze Straszliwie Nadmuchiłym Ochroniarzem z Poprawczaka i stanąć oko w oko z wcieleniem Gabrysia, pewnego gospodarza domu z Sopotu.

Trasa, jaką była:

SOPOT:

- A Wybickiego 23
- B Lipowa 15
- C Ogrodowa
- D Pułaskiego 10
- E Obrońców Westerplatte 24
- F Goyki 3





Zakład Poprawczy w Gdańsku. Fot. Maciej Moskwa

III Dwór [dwór Schopenhauerów, obecnie Zakład Poprawczy w Gdańsku, ul. Polanki 122]

„Dzień Do Bry!!!” zawołaliśmy grzecznym chórem w stronę Straszliwie Nadmuchanego Ochroniarza. Staliśmy [kilkudziesięciu uczestników wycieczki, fotograf Maciej, operator kamery Michał, aktor Michał i przewodniczka Magda] pod bramą domu poprawczego przy ul. Polanki 122 w Gdańsku. Kiedyś [w XVIII wieku] posesja i dwory należały do rodziny Schopenhauerów. Tu mieszkał mój Artur, w przyszłości wielki filozof, to miejsce opisała we wspomnieniach jego matka, poczytna w swojej epoce pisarka. Str. Nad. Ochr. był nieczuły na nasze tłumaczenia, że jesteśmy niespotykane grzeczną wycieczką. Kazał nam spadać. Więc spadliśmy. Cate szczęście fragment wspomnień Joanny aktor Michał Kowalski przeczytał nam już wcześniej w autokarze.

JOANNA SCHOPENHAUER, *Gdańskie wspomnienia młodości* (fragm.)

Z siedmiu domów wiejskich, położonych niewymownie pięknie między Strzyżą a Oliwą, sześć, a między nimi wspomniany właśnie jako nasza własność, rozpadły się opuszczone i samotne. W pewnej odległości od siebie zbudowane, stykały się ogrodami, nieraz bardzo okazałymi, ocienionymi wspaniałymi bukami i jaworami, opierając się o wyżynę tworzącą krawędź lasu ciągnącego się w głąb ziemi kaszubskiej.

Pole i las, półwysep Hel ze swą latarnią morską, otwarte morze, reda z płynącymi z niebieskiej dali okrętami, port – upragniony cel, stojący dla nich otworem, Wisła uchodząca do Bałtyku z twierdzą Wisłoujściem na jej brzegu, cała bogato zabudowana okolica, ponad wysokie wały miejskie jeszcze wyżej strzelające wieże wszystko to z okien tych nieco na wyniośłości postawionych domów tworzyło jeden z najbogatszych i najbardziej zachwycających widoków, jakie znam. Wszystkie te domy należały do rodzin wyróżniających się bogactwem i były zamieszkiwane przez nie w letnich miesiącach.

Każdy starał się polecanych mu podróżnych wprowadzić do tych ogrodów, na co gościnni właściciele nader chętnie pozwalali. Nikt, zwłaszcza w niedzielę, nie przeszedł obok, aby przynajmniej kilka minut nie przyglądać się igraszce chyżych i pełnych życia wodotrysków, z których wiele rzucało obfity strumień wody na sześćdziesiąt do siedemdziesiąt stóp ku niebu,

ażeby piękną tęczą, zamienioną w rubiny i diamenty, opaść z powrotem do swego zbiornika.

Ciche, opustoszałe, na powolne zniszczenie wydane, stoją obecnie tak niegdyś miłe wiejskie domy. Chwasty i pokrzywy rozpierają się na ogrodowych ścieżkach; wielką ich ozdobę, stare wspaniałe drzewa, w większej części powycinano lub wyniszczono. Zamilkł miły plusk i szmer wodotrysków. Przewody i wodociągi rozbite, a miejsca po nich zabagnione. [...]

Największy z tych letnich domów, rodzaj zameczku, obecnie zamieniają, jak styszę, na zakład dobroczynny dla starców, chorych i ułomnych. Ostatni z rzędu siedmiu domów, znacznie piękniej położony niż inne, blisko wsi Oliwy, jest jedynym utrzymywanym jeszcze przez właściciela, który dogłąda posiadłości odziedziczonej po rodzicach wedle ich życzeń i zarządza nią, mieszkając tam w czasie pięknej pory roku.

Nasz dawny dom, wyróżniający się tarasowym rozplanowaniem ogrodu i wodotryskami, dzieli dolę innych. Obecny jego właściciel mieszka w oddalonym mieście Kłajpedzie i nieraz kilka lat minie, zanim go kiedyś na kilka tygodni odwiedzi. Ogród założony według mego pomysłu, górę w tarasowatym układzie, którą mój mąż kazał obsadzić doskonałymi gatunkami drzew owocowych, wszystko pokrywają dziś pokrzywy i dzikie chwasty.

I Dwór [ul. Polanki 125, Gdańsk]

Tego nikt nie przewidział. Że ukryta w głębi starego ogrodu posesja przy ul. Polanki 125 będzie tak piękna. I dwór Hoffmanów, i oficyna Francuza, opisane przez Pawła Huellego w powieści *Śpiewaj ogrody*, wyglądały tak, jakby zbudowano je na podstawie książki. Siedzieliśmy pod dębem pamiętającym początki dworu, wstuchani w mroczny opis wyławiania tajemniczych skrzyń ze szczątkami ludzkimi z dna stawu.

PAWEŁ HUELLE, *Śpiewaj ogrody* (fragm.)

François de Venancourt mógł pojawić się w Oliwie po uwolnieniu francuskich jeńców z rosyjskiej twierdzy Kronsztad, a więc nie wcześniej niż po roku 1735. Nie wiadomo, dlaczego nie pożegłował z nimi do ojczyzny, by zejść na ląd w Hawrze czy Bordeaux, tylko zatrzymał się na całą resztę

życia w mieście, którego prawdopodobnie szczerze nienawdził, które z towarzyszymi broni miał wyzwolić śmiałym desantem z półwyspu Westerplatte, lecz które – na skutek niebywatej nieudolności i blamażu francuskiej armii – musiało się poddać Rosjanom i Prusakom. Skąd miał pieniądze na zakup ziemi, lasu? Rozebranie modrzewiowego dworu poprzednich, kaszubskich właścicieli? Budowę nowej, murowanej rezydencji? Założenie dolnego i górnego parku? Ujęcie mulistego strumyka w kamienne, niemal górskie koryto, poprowadzenie go przez kaskadę, a jeszcze – jakby tego było mało – zasadzenie dwóch lipowych alei [...] ? [...]

Dwa tygodnie później okazało się, że jest w błogostawionym stanie. Nie mogłem tego znieść. Sama myśl, że miałbym mieć potomka, napawała mnie wstrętem i obrzydzeniem. Nie, nie powiem, że taki był mój zamiar, lecz tak się stało: na piętrze, w oficynie, kiedy leżałem na niej podczas coitus, zacisnąłem moje palce na jej szyi. Niedługo drgała. Potem z Hermanem mieliśmy poważne zadanie: jak ją zagrzebać. W dolnym parku? Może w lesie, pod jednym z buków? Herman był pomysłowy. Zamówił u kotlarzy żelazną, uszczelnioną skrzynię. Ciało Joanny złożone w najniższej piwnicy lekko już prześmierdło. Kiedy pakowaliśmy ją do tej arki, Herman zapytał:

– Nie zdejmie pan krzyżyka?

– Nie – odpowiedziałem.

– Bardzo dużo kosztował.

– Zamknij się. Gdzie kamienie?

Leżały przygotowane na brzegu stawu. Herman znosił je przez trzy dni oczekiwania na skrzynię. Zapewne nie było to konieczne, pudło wraz z ciałem miało swój ciężar, ale wrzuciliśmy wszystkie. Zakryty trupa niemal całkowicie, lecz teraz mieliśmy nową sprawę. Skrzynię należało zatopić nie na brzegu, lecz na środku stawu, gdzie toń głęboka była na dwóch chtëpa. Mała tódka, którą czasami pływałem, aby patrzeć na korony drzew i obłoki przeglądające się w wodnym lustrze, nie nadawały się do tego. Herman okazał się nieoceniony. Przez kilkanaście godzin, postępując się siekierą oraz piłą, zbudował mocną i wyporną tratwę. Pięknie to wyglądało: noc, księżyc, my dwaj na tratwie, a w środku żelaznej skrzyni ciało dziewczyny oddane już wieczności. Czy gdybym zmówił chociaż jakąś skromną modlitwę, pomogłoby to Joannie? Nie. Ten, kto odchodzi, zapada się w zupełną nicość. Zaświaty, sądy, kary i nagrody – to są brednie. Bóg – gdyby istniał – nie mógłby orzekać, ponieważ zna jakoby nasze losy od narodzin po śmierć. Skoro wszystko jest przesądzone, zapisane, jakimże absurdem byłoby wymierzanie nam sprawiedliwości? Herman popychał tratwę długą tyką

niczym Charon. Ja paliłem cygaro i popijałem z małej buteleczki porto. Noc była bezwietrzna. Gdzieś z lasu dobiegało pohukiwanie puszczyka. Kiedy spychaliśmy skrzynię w toń, tratwa przechyliła się do tego stopnia, że nasze trzewiki nabrały wody. Ale wróciliśmy na brzeg bezpiecznie. Nie miałem żadnych dalszych planów, choć pokój po Joannie świecił pustką i domagał się czyjejs obecności.



I Dwór w Gdańsku. Fot. Maciej Moskwa

Ul. Wybickiego 23, Sopot

Podobno z psem było jedenaście istot. Podobno elegancko ubrani zasiedli do kolacji. Wiedzieli, że Armia Czerwona nadchodzi, może szklanki na stole drżały leciutko od huków armat? Podobno wszyscy zażyli truciznę. Podali ją też psu. Kto znalazł w domu przy późniejszej ul. Wybickiego 23 ciała dziesięciorga martwych Niemców – mężczyzn, kobiet, dzieci i jedenastego, ich psa? Tego nikt już nie pamięta. Podobno pochowano ich w przydomowym ogródku i nigdy nie ekshumowano. Na pewno straszili, więc nikt nie chciał tam zamieszkać. Nie zlekli się ich dopiero krewni Czesława Mitosza. Zająli mieszkanie na piętrze. Lata później o duchach z Wybickiego napisał zaprzyjaźniony z mieszkańcami parteru willi Miron Białoszewski w *Poniemieckiej balladzie sopockiej*. W każdym razie nam się nie ukazały, kiedy słuchaliśmy utworu poety, stojąc pod ich oknami.



Dom przy ul. Wybickiego 23 w Sopocie. Fot. Maciej Moskwa

MIRON BIAŁOSZEWSKI, *Poniemiecka ballada sopocka* (fragm.)

[...] roku 45-go,
 Kiedy zwyciężający mieli wejść,
 Sędzia Niemiec, pan willi,
 Podobno niewinny,
 Pani, dzieci, niańka,
 Kuzyni, służąca, ogrodnik,
 Razem jedenaścioro,
 Zebrali się w stołowej sali
 I siedząc, jedząc, potykali
 Cyjanek.
 Tak ich zastali
 Siedzących
 Nieżywych.
 Nawet struty pies.

 – Hitlerowski gest –
 Orzekł ktoś.
 Ktoś inny wniosek zwinął:
 – Czy wszyscy tak chcieli ginąć?
 Może był przymus?
 Zagadkowy minus.

 Mieszkańcy,
 Ci powojenni, polscy, żywi,
 Pochowali tamtych w ogródku.
 Zastanawiają się do dziś
 Wieczorami
 Nad ich tragedią
 I nad strategią
 Odruchów ciał i duchów.

 Kto tu był medium?
 Czy ten na piętrze?
 Bo po jego wyprowadzce ucichło.
 Czy ta naprzeciwno?

 A może samo się nadawało
 I odbierało,
 Skoro się takich rzeczy dopuszczano?

Willa Paula Puchmüllera (dom Moniki Żeromskiej, ul. Lipowa 15, Sopot)

Monika Żeromska, córka Stefana, w 1945 roku zamieszkała w cichej sopockiej uliczce wraz z matką Anną. Zajęty ponemiecką willę, pełną czystej pościeli i faszystowskich symboli. Choć obiecywały sobie łać po mordzie za lata okupacji niemiecką gosposię, która nie uciekła przed Armią Czerwoną, zaprzyjaźniły się z kobietą. Żeromska opisała wszystko kapitalnie w swoich *Wspomnieniach*. Jej dom był pierwszym punktem naszej trasy po literackim Sopocie.

MONIKA ŻEROMSKA, *Wspomnień ciąg dalszy* (fragm.)

Jechaliśmy strasznie długo, od świtu do wieczora. Wreszcie ciężarówka zatrzymała się naprzeciw apteki na głównej ulicy Sopotu schodzącej prosto do mola. Na postoju czekali na nas Grabscy i Funia aptekarka ze Starego Miasta z mężem. Oni także już tu osiedli i prowadzili aptekę. Był niebieski, letni wieczór. Poszliśmy wszyscy trochę w górę i w lewo za czerwonym ceglany kościołem, cienistą ulicą. Potem znów w lewo miłą, wysadzaną lipami uliczkę – Charlottenstrasse. Przed jakąś ładną żelazną bramką zatrzymaliśmy się wszyscy i Zdzisław Grabski powiedział: „To jest właśnie wasz dom”.

Od bramki zaczęły się sprawy z zupełnie innej niż dotychczas sztuki. Weszliśmy razem do ciemnego wewnętrznego hallu, z którego były drzwi do wielkiego stołowego. W dębową boazerię wbudowane były kredensy i bufety, a w nich szkło, porcelana i sztućce. Obok był niewielki salonik, a naprzeciwko kuchnia, cała w białych kafelkach. Wszystko w niej funkcjonowało doskonale – kuchnia gazowa, lodówka, w kredensach i komodach ścierki, ręczniki, talerze, szkło i wszelkie naczynia. Kręte dębowe schody z ładną balustradą, z chodnikiem pięknie przybitym mosiężnymi prętami szły na górę do pokoi sypialnych, trzech, i do łazienki, trochę tylko przestrzelonej w okolicy gazowego pieca. Kiedy zobaczyliśmy sypialnię z olbrzymim podwójnym letto matrymoniale, całą z różanego drzewa, szafę trzydrzwiową z lustrami, toalety, fotele, dywany, poduszki, piernaty i puchowe kołdry – nie wytrzymałyśmy i zaczęłyśmy się śmiać, śmiać zupełnie szalonym fou-rire'em, bo to było jak z najbardziej nieprawdopodobnego snu. Przenieść nas z ruin na Zgoda, ze spania byle gdzie, z jedzenia byle gdzie, z całego życia ostatnich miesięcy, które naprawdę było po prostu nędzą, z zupełnego

braku jakiegokolwiek wygody, kiedy wyzbyłyśmy się najprymitywniejszych potrzeb, przyjmując to zresztą jako rzecz naturalną i konieczną i nie cierpiąc nad tym ponad miarę – i postawić nas w tym całym obcym luksusie, i jeszcze w dodatku powiedzieć nam, że to nasze – to już było po prostu prześmieszne. Byłyśmy przy tym szalenie zmęczone, naprawdę wydawało się, że obudzimy się zaraz na twardych, rozsuwających się siedzeniach z krzesetek na podłodze u pani Turczyńskiej.

Zostałyśmy w tym domu same, ale niezupełnie. Była tam w pokoju służbowym za kuchnią służąca Emy Über, przynależna do tego domu. Bała się strasznie. Mówiła po polsku źle, ale mówiła, bo była Niemką z kolonii osiadłych pod Bydgoszczą. Kładąc się spać w tych puchach po kąpieli, już pół przez sen, obiecywałam sobie bić tę Emy Über po pysku codziennie za wszystko, za te sześć lat. Rano, każda w swoim pokoju, zobaczyłyśmy na ścianach rozmaitych wielkości portrety marszałka Ludendorffa. Musiał to być ktoś bardzo bliski rodzinie Schlichtów, dawnych właścicieli tego domu. Jego dzieci i dzieci jego żony Frau Doktor Mathilde Ludendorff zapętniały półki biblioteczne. U mamy na stole stał ogromny świecznik z brązu, cały z elementów SS i swastyk, z wygrawerowanym napisem ku czci Obersturmführera Schlichta.

Willa Paula Puchmüllera w Sopocie. Fot. Maciej Moskwa





Ul. Ogrodowa w Sopocie. Fot. Maciej Moskwa

Ul. Ogrodowa, Sopot

W małej, wygiętej w tuk uliczce Ogrodowej, zostaliśmy na dłużej. Zatrzymał nas pisarz Marek Idczak i jego *Opowiadania z Ogrodowej*. Wyszedł do nas ze swojego domku ogrodnik Niemiec, z dewizką zegarka zawieszoną przy kamizelce, widzieliśmy, jak Cyganie czyszczą miedziane kotły dla kuchni szpitala reumatologicznego, odprowadziliśmy wzrokiem wóz konny wiozący na sopocki rynek poniemieckie meble. A że to wszystko wydarzyło się tylko w naszej wyobraźni? No i co z tego?

MAREK IDCZAK, *Opowiadania z Ogrodowej* (fragm.)

– Byłeś w szklarni? – zapytałem, aby przerwać tę idiotyczną dla mnie sytuację i przenieść uwagę na Mirka.

– No chyba, że w szklarni, przecież nie w domu, co on, samobójca – wystąpił w roli mecenasa Andrzej i z rozbijającą szczerością dodał: – ja bym nigdy tam nie wszedł.

Mówiąc „szklarnia”, wszyscy mieliśmy na myśli tę część szklanej zabudowy, przylegającą bezpośrednio do domu ogrodnika, do której wchodziło się prosto z sieni z pominięciem mieszkania.

Tam właśnie mieścił się stół-lada z rzeźbionymi narożnikami, przedstawiającymi lwie głowy – na każdym rogu inną, zza którego Ogrodnik sprzedawał kwiaty, ziemię doniczkową i czasami warzywa. Gdy tak stał wyprostowany jak struna za lwim kontuarem, z tymi swoimi zakręconymi ku górze wąsami, przystrzyżonymi włosami, kamizelką i błyszczącym łańcuszkiem, to wyglądał bardziej na jakiegoś hrabiego niż na ogrodnika. Chyba właśnie za owo dostojęństwo, w soczeczowości tak czytelne, lecz wcale nie ostentacyjne, wielu dorostych go nie cierpiało, co naturalnie odbijało się rykoszetem na sposobie, w jaki traktowała go okoliczna dzieciarnia – czyli głównie jako dawcę jabłek i rozrywki. Wiele lat później zrozumiałem, że awersja owa brała się chyba bardziej stąd, że On był właśnie stąd, a oni, my, nie zawsze.

A więc, gdy Ogrodnik tak stał za wspomnianym stołem, prezentując swoje wspomniane oryginalne emploi, za plecami miał niewspomniane, przedzielone gęsto udrapowaną, bordową kotarą przejście do pozostałej części szklarni, strzeżone dodatkowo przez podzielone na sto małych, kolorowych, szklanych kwadracików drzwi. Drzwi, których nikt obcy dotąd nie przekroczył. Tym bardziej potencjalna obecność Mirka w tajemniczej części szklanego zamczyska Ogrodnika wydawała nam się fascynująca. Wreszcie

rozstrzygną się różne nasze fantastyczne domysty na temat białego malowanego od środka, zagadkowej przestrzeni. Czy rzeczywiście jest to sala tortur albo tajemne alchemiczne laboratorium, w którym gospodarz odkrył miksturę na długowieczność, dzięki czemu już dawno przekroczył sto lat, albo czy stoi tam przedwojenny mercedes, zachowany w takim stanie, jakby dopiero co zjechał z taśmy montażowej. W każdym razie najśmieszniejsze, że na wszystkie te mniejsze i większe niesamowitości, których tylko małą cząstkę tu przytaczam, mieliśmy dowody w postaci zeznań świadków, zaklinających się, że widzieli to czy tamto, my zaś z ochotą oddawaliśmy się owej konfabulacji, zaptadniając nią nasze umysły, by wydać na świat kolejną prawdziwą historię.

Ul. Pułaskiego 10, Sopot

Kobieta w kapciach wyszła przed klatkę kamienicy przy Pułaskiego 10. Oparta o ścianę, wstuchiwała się w zdania z kryminału Katarzyny Bondy *Pochtaniacz*. Michał Kowalski skończył czytać właśnie fragment o Gabryśiu, obsesyjnie dbającym o porządek gospodarzu domu pod numerem dziesiątym (jego pierwowzorem mógłby być Anioł, gospodarz z *Alternatywy 4*), gdy Kobieta w Kapciach zaatakowała: „Co za bzdury pan czyta? Co to za brednie?! Tu nikt taki nie mieszka! Po co pan ludziom takie rzeczy opowiada?”

Na nasze wyjaśnienia, że to powieść kryminalna, nieprawda taka, zmyślenie, krzyknęła:

- Kto to napisał?
- Bonda!!! – zawołaliśmy chórem.
- Jaki tytuł? – była surowa niczym belferka polskiego.
- *Pochtaniacz!!!*
- *Pochtaniacz*. Chyba idiotów – rzuciła w naszą stronę, okręciła się na pięcie i zniknęła w klatce Gabryśia.



Ul. Pułaskiego w Sopocie. Fot. Maciej Moskwa

KATARZYNA BONDA, *Pochtaniacz* (fragm.)

Gabryś był prezesem wspólnoty mieszkaniowej i wszyscy wiedzieli, że bez niego ta kamienica nie wyglądałaby tak wspaniale. [...] Pan prezes doprowadził do eksmisji wszystkich lokatorów komunalnych, a zwłaszcza tych, którzy nie chodzili do kościoła. Niestety, na tych własnościowych nie miał wpływu. Ale meneloki, kociara i operator schizofrenik zostali wykwatrowani do Oruni, niepełnosprawny pijak zaś, który zrobił sobie melinę z mieszkania pod numerem pięć, trafił na dworzec. Zamiast niego Gabryś zainstalował w lokalu katolicką rodzinę z siódmką dzieci (razem było ich dziewięcioro, trzy razy trzy). Nikt poza nim ich nie tolerował, bo po wiejsku wystawiali swoje buty na klatce, jak średnio atrakcyjną wystawę; nie odpowiadali na dzień dobry i robili straszny hałas, kiedy szli watahą na mszę. Ale poza dziwnymi spod piątki Gabryś nie miał wpadek. Zadeklarował kiedyś, że dopóki on żyje, na Pułaskiego będzie mieszkało tylko porządne towarzystwo. I jak dotąd słowa dotrzymał.

Tak było przez całe lata, do czasu, aż naprzeciwko, do stojącego od lat pustego budynku po Language Pub sprowadził się ten piosenkarz Janek Wiśniewski, znany bardziej jako Igta, ze swoim zespołem. Gabryś nie styszał nic o przetargu, choć śledzi je przecież na bieżąco. Natychmiast zwietrzył przekręt i rozpoczął własne śledztwo, które o dziwo nie powiększyło jego wiedzy. Fakt jest jednak faktem: o tym, że obok jego kamienicy powstanie klub muzyczny, dowiedział się za późno. Dopiero, kiedy właściciele zaczęli znosić sprzęt, a budowlancy objąć ściany tworzywem wyciszającym.

Tak jak się Gabryś obawiał, to był dopiero początek jego gehenny. Huk, szatańska muzyka, rozebrane ladacznice, alkohol i narkotyki zbierały żniwo grzechu każdej nocy. Gabryś nie mógł nic na to poradzić. Walczył wszelkimi sposobami: dzwonił do Straży Miejskiej, codziennie był na posterunku policji, założył Igle sześć spraw sądowych (dwa razy trzy). Pisał donosy do gminy, nasytał grupę nawracającą z Franciszkańskiego Zakonu Świeckich. Bez skutku. Nie tylko nie zamknięto Igty, ale też grzesznicy dostali pozwolenie na założenie bliźniaczego bistro przy Pułaskiego 6. W Iglicy już od siódmej rano serwowano śniadania i grano kocią muzykę. Gabryś sam już nie wiedział, który lokal jest gorszy. [...]

Na szczęście przed świętami oba kluby, Igta i Igllica, zdawały się świecić pustkami. Gabryś nie podejrzewał nawrócenia, chodziło o zarobek. Klientów przed świętami było jak na lekarstwo. Od wczoraj zaś panowała wokół cudowna cisza. [...]

Nagle ze stołu sturlał się długopis. Potem zadrżała szklanka. Zaczęła rytmicznie podrygiwać na spodeczku. Gabryś aż zapowietrzył się ze złości. Dobrze wiedział, że co to oznacza. W Igle coś się działo. Przeżegnał się, zdjął okulary, przyliźnął resztkę włosów na bok, bo pożyczka mu się przesunęła.

– Nie wytrzymię tego dłużej. – Wzniósł oczy ku niebu. – Wybacz mi, Panie, ale dziś Wielki Piątek. Nie godzi się bawić, gdy Twój Syn tak cierpi.

Wstał i pewnym krokiem ruszył do przedwojennej serwantki. Wyjął z niej ogrodnicze nożyce, pitkę do metalu, śrubokręt, rękawiczki oraz maskę Lorda Vadera. Schował wszystko do szmacianej torby na ziemniaki, po czym szedł do piwnicy, gdzie znajdowała się skrzynka z korkami oraz sieć przewodów. Korytarzem przemieścił się do sąsiedniej kamienicy, a kiedy tak szedł, czuł, jak serce podchodzi mu do gardła, bo szatańska muzyka rozbrzmiewała coraz silniej. Przed samym wejściem założył maskę i wykręcił korki. Muzyka gwałtownie ucichła, odetchnął z ulgą. Ale to mu nie wystarczyło. Włączył latarkę. Skierował się do skrzynki rozdzielczej i jednym ruchem przeciął wszystkie trzy kable. Wiedział, że tym samym pozbawia prądu całą ulicę, w tym także i siebie, ale był gotów dźwigać ten krzyż. Uważał, że powinni być mu wdzięczni. Może ocalił ich tym sposobem od piekielnych ogni na Sądzie Ostatecznym.

Z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku wrócił do swojego mieszkania na piątym piętrze.

– Jeszcze dziś pójdę do spowiedzi. – Ucałował krucyfiks, zapalił świeczkę i wrócił do ostatnio przeglądanej faktury.



Willa Bergera w Sopocie. Fot. Maciej Moskwa

Willa Bergera (ul. Obrońców Westerplatte 24, Sopot)

To było pewne odstępstwo od zasad. Bo w Willi Bergera przy sopockiej ul. Obrońców Westerplatte 24 nie toczy się akcja żadnej powieści. Ale w 1985 roku reżyser Jacek Koprowicz nakręcił w niej horror *Medium*. No dobrze, willa gra w filmie tylko z zewnątrz, ale robi to godnie. A film wszedł do grona dzieł kultowych. Z fragmentami scenariusza odegraliśmy więc w ogrodzie willi sceny z *Medium*. Wszyscy wypadli świetnie, a najlepiej pewien mały, uroczy chłopczyk, uosabiający (jak to w horrorach) samo Zło.

Dla tych, którzy filmu nie widzieli – na zachętę – opis postaci, sporządzony przez Magdalenę Grzebańkowską:

Medium

Film barwny. Agfa negatyw. 1985 rok.

Scenariusz i reżyseria: Jacek Koprowicz.

Rzecz dzieje się w Wolnym Mieście Gdańsku, w 1933 roku, Hitler już szaleje.

Występują:

Medium – kobieta w średnim wieku, nawiązuje łatwo kontakty z innymi bytami.

Wagner – jej brat. Starszy pan, parapsycholog. Umie przewidzieć datę śmierci każdego człowieka na świecie, ale się z tym nie obnosi.

Komisarz – komisarz policji, gdańszczanin o polskich korzeniach, zdecydowany antyfaszysta, przez co niepopularny wśród innych policjantów, zwłaszcza tych wyższych rangą. Oczywiście alkoholik.

Andrzej G. – Polak. Gra go aktor Żelnik. A więc faraon jak nic. Przystojny. Umrze na końcu. Bo to horror w końcu.

Krank – policjant, podwładny Komisarza. „Pijesz jak wróbelek” – powie mu komisarz, gdy Krank tyknie z gwinta tyk. Krank donosi na Komisarza Piotrowi Machalicy, który jest, zdaje się, gauleiterem Foersterem w tym filmie. Krankiem jest Michał Bajor.

Netz – płacziwy urzędnik bankowy z Berlina. Próbuje uniknąć swego losu, przywiązując się do fotela w Grand Hotelu. Ale potem i tak zetnie głowę kurze i innym, albowiem nikt swego losu uniknąć nie może.

Stary Orwicz – nie występuje.

Aleksander Orwicz – w pewnym sensie nie występuje, bo w filmie jest wciąż nieprzytomny. Ale to on jest tym głównym MEDIUM.

Zofia Orwicz łamane przez Kobieta, Która Jest Nauczycielką, A W Wolnej Chwili Kradnie Suknię Z Muzeum – ponieważ jest to film zdecydowanie seksistowski, rola kobiety została tu sprowadzona do wariatki/kochanki ewentualnie puszczalskiej pielęgniarki (siostra Maria – w tej roli wspaniała Ewa Kasprzyk), więc Zofia Orwicz łamane przez KKJNAWWCKSZM nie mówi w filmie nic. Jest za to piękna, coraz piękniejsza, a na końcu kocha się z faraonem, a na zupełny koniec kończy z siekierą między piersiami. Nagimi.

Chłopczyk vel Młody Orwicz – dziecko w marynarskim ubranku, uroczy cherubinek, który – jak na każdy porządny horror przystało – jest ZŁY. Także nic nie mówi.

Ul. Goyki 3, Sopot

Ze smutkiem słuchaliśmy zabawnej listy lokatorów mieszkających w domu z wieżą przy ul. Goyki 3 w Sopocie. Bo nikt z opisanych w książce Jana Piepki *Wieża z domem* dzieciaków już tam nie mieszka. A sam dom powoli umiera, gubiąc dachówki, cegły i klamki.

JAN PIEPKA, *Wieża z domem* [fragm.]

Gdy Litta przerosła o całą głowę siebie, któregoś tam dnia, gdy wiatr przyniósł między drzewa Parku Wesotego buczenie okrętowej syreny, przyszła do mnie i zapytała:

– Dlaczego inni mówią, że mieszkamy w domu z wieżą?

Ponieważ wyczułem, że w głosie mojej małej jeszcze, mimo wszystko, córki tyle żalu, że starczyłoby na trzy westchnienia, powiedziałem:

– Przecież dom ma wieżę. Ludzie mówią prawdę, Litto.

– Ale to jest prawda dorosła, nie nasza – wydawało mi się, że żalu wcale nie ubywało.

– Jaka jest wasza prawda? – zapytałem ostrożnie.

– To jest Wieża z Domem – zawołała i pokazała nasz dom całym ramieniem.

– Zgoda, to jest wieża z domem – przyznałem, a Litta swoje:

– Jeżeli kiedyś będziesz o tym pisał, to musisz do tego mieć same duże

literki. Dorośli są trochę zarozumiali. Mówią, że musi być tak, jak musi. Tak bardzo szybko chcą nam włożyć do głów dorosłą prawdę.

Kiedy milczałem po jej słowach, dopowiedziała:

– Nie pozwól, żeby oni się tak bardzo z tym śpieszyli.

To była prośba. Nie zdążyłem przytaknąć przed jej pytaniem, które mi powiedziała prosto w oczy:

– Nie pozwolisz? Przrzeknij.

Przrzekłem.

I tak zaczęła się snuć opowieść o Wieży z Domem... [...]

Przyszedł dzień Pierwszej Wielkiej Narady. Nawet prędko przyszedł. Pierwsza Wielka Narada zaczęła się wtedy, kiedy słońce przeszło na drugą stronę torów, żeby się przyjrzeć ludziom, którzy siedzieli w pociągach przy oknach po tamtej stronie.

Przyszły wszystkie dzieci z naszej Wieży z Domem. Nie przyszły tylko dwie Teresy, jedna Basia, jedna Bożena i jeden Andrzej. Jedna Teresa nie mogła do nas przyjść, bo Zbycho powiedział, że ona ma chłopaka i będzie dla nas wnet stracona.

Dziewczynki, które przyszły na naszą Wielką Naradę, to z góry na dół: Adriana, która się boi okrągłego okna i mrówek, i która mieszka jednym pokojem na Wieży, a drugim w Domu. I jeszcze to, że Adriana jest na całym drugim piętrze naszej Wieży z Domem jedyną Dziewczynką i ma brata Krzysia-Malucha.

Jolka, która rośnie tak szybko, że fabryki nie mogą zdążyć z uszyciem na nią sukienek, i która jest jedynaczką, i ma własny balkon z daszkiem na kręconych słupkach.

Grażyna. Ona bardzo szybko gada, a Babcia Siwa mówi, że ona „gada strzelającą”. Grażyna bardzo za to lubi psy i ma młodszego brata Wojtka i młodszą siostrę Żanetę, i ma też balkon bez daszka. Nad jej balkonem jest okno mieszkania Trzech Budrysów i gniazdo Wróblowego Kuby z urwanym ogniem; ten wróbel paskudzi Grażynie na balkon, ale ona się tym nie martwi, bo Kuba, jego żona Kubowa i ich dzieci muszą gdzieś paskudzić.

Żaneta, która ma starszą siostrę Grażynę i trochę tylko starszego brata Wojtka. I ma też balkon bez tego daszka i nad balkonem okno Trzech Budrysów i gniazdo rodziny Wróblowego Kuby, który paskudzi na balkon. Żaneta bardzo lubi psy i koty, i czasem z chłopcami wtaży na mniejsze drzewa.

Marzena, która jest jeszcze mała, ale ma czarne oczy z brwiami. I ma brata Marka, a łazienkę na półpięterku Wieży z Domem. Więcej nie można

o niej opowiedzieć, ale tylko na razie, bo potem będziemy wiedzieli, co będzie lubić. Teraz ona lubi wszystko albo nic. Marzena jest ostatnią z dziewczynek na pierwszym piętrze.

Julitta, która ma długie jasne włosy, bo Adriana ma takie same ciemne. Julitta ma też starszego brata, którym jest Mirek, i dużą werandę pod balkonem Grażyny i Żanety. Ona lubi bardzo biegać i mówi prawie tak szybko jak Grażyna. Julitta ma też białego psa Puszka, który nabawił się paru rudawych plam, a tatuś Julitty ma samochód i dlatego Julitta zna „większą potowę Kaszub” oraz „mniejszą część” Polski. Wiemy, że nie powinno się mówić „większa potowa”, ale my na razie nie potrafimy tego lepiej objaśnić. Na Julittę mówimy też Litta, a czasem Siwa.



Dom z wieżą przy ul. Goyki. Fot. Maciej Moskwa



Nabrzeże Francuskie w Gdyni. Fot. Maciej Moskwa

Nabrzeże Francuskie (ul. Polska 1, Gdynia)

Tego mężczyzny nie widziałam wcześniej. Zmierzwione włosy, znoszone dresy, chwiejna postawa. I tży na twarzy. Przystanął z nami na Nabrzeżu Francuskim. Żegnaliśmy okręt Gustloff z co najmniej sześcioma tysiącami ludzi na pokładzie. Odbijali w mroźne styczniowe popołudnie, żeby zaraz zatonać w Bałtyku. Michał Kowalski czytał *Idąc rakiem* Güntera Grassa i mój reportaż *Czerwone znamię* o tragedii okrętu. Chusteczki, które rozdałam przed chwilą, żebyśmy mogli pomachać na pożegnanie pasażerom „Batorego”, opisanego przez Bożenę Aksamit w książce *Batory*, przydały się teraz wszystkim do ocierania teź.

– Pan też się wzruszył? – spytałam chwiejnego mężczyzny.

– Wcale nie – obraził się i pociągnął nosem.

MAGDALENA GRZEBAŁKOWSKA, *Czerwone znamię* (fragm.)

Około dziesiątej wieczorem 30 stycznia 1945 r. Lucie Rybandt z synem spadła z okrętu „Wilhelm Gustloff” do Bałtyku.

Dziesięć minut wcześniej tłum wypchnął ją na pokład. Lucie rozgląda się wokół. Lamy awaryjne rozświetlają noc. Na prawo kłębi się czarna masa ludzi. W ciepłych paltach, futrach, z walizkami i kotdrami zawiniętymi w toboły, z biżuterią zaszytą w podszewki, próbują wladować się do łodzi ratunkowych. Kobiety krzyczą i tratują się wzajemnie, zagubione dzieci płaczą, mężczyźni depczą po przewróconych. Miażdżą palce, zgniatają obcasami nosy, odrywają dłonie innych od burt. Marynarze rąbią toporkami przymarzniałe liny przytrzymujące łodzi.

W powietrzu jest minus osiemnaście. Lucie zapomniała zabrać z kajuty czapkę, ale nie czuje zimna. Sprawdza, czy Hans Jurgen jest dobrze do niej przywiązany trzema szalami. Spokojny, nie płacze. Lucie nie chce pchać się do łodzi. Rusza po oblodzonym pokładzie. Mija skaczących do wody i modlących się głośno. Spotyka swoją sąsiadkę z Gdyni. Nie poznaje Lucie. Stoi nieruchomo, wpatrzona w morze. Przytula do siebie młodszego syna. Starszego, dziewięcioletniego, który krąży wokół niej z płaczem, bezwiednie odpycha.

Lucie czuje, że statek coraz bardziej się przechyla. Decyduje się na skok do wody. Ale jest już zbyt stromo, żeby dotrzeć do relingu. Prosi o pomoc

przebiegających marynarzy. Podpychają pod burtę kobietę z przywiązanym do piersi synkiem. Staje na krawędzi i patrzy w dół. Kilkadziesiąt metrów niżej w czarnym morzu kłębią się już tysiące ludzi. Nie umie skoczyć. Ktoś ją spycha. [...]

...

30 stycznia, wtorek. Temperatura: minus 18 stopni Celsjusza, śnieg od rana sypie grubymi płatami. Wiatr: 6 stopni w skali Beauforta. Sztorm. „Gustloff” wychodzi w morze w towarzystwie statku pasażerskiego „Hanza”, zatadowanego ponad miarę uciekinierami, i pod eskortą dwóch okrętów wojennych. Zaraz za portem „Hanza” ma awarię i zostaje z jednym z okrętów wojennych Kriegsmarine. Jej pasażerowie płaczą i lamentują. Zazdroszczą tym z „Gustloff’a” [dwa dni później „Hanza” ruszy dalej i bezpiecznie doptynie do Kilonii].

Na wysokości Helu okręt spotyka przybrzeżny parowiec „Reval”, który wiezie uchodźców z Pilawy. Sytuacja na „Revalu” jest dramatyczna. Nie wszyscy pasażerowie zmieścili się w ogrzewanym wnętrzu. Ci z górnego pokładu zamarzają na śmierć, zalewani lodowatymi falami. „Gustloff” zatrzymuje się żeby przejąć pasażerów. Zajmują miejsca na ciepłych schodach i w zatłoczonych korytarzach. Wieczorem wszyscy słuchają płynącego z megafonów przemówienia Hitlera z okazji 12. rocznicy dojścia do władzy. [...]

8, a może nawet 9 tysięcy ludzi stłoczonych na „Wilhelmie Gustloffie” liczy godziny pozostałe do Kilonii. Motory pracują równo, ale statek płynie wolno. Kapitan Friedrich Petersen, doświadczony oficer żegluga handlowej, wyznaczył prędkość 12 węzłów, mimo że „Gustloff” może przyśpieszyć. Kapitan nie chce ryzykować awarii nieużywanych od lat silników. Lekceważy zagrożenie. Płynie z zapalonymi lampami burtowymi. Odrzuca także propozycję zastępcy, by płynąć płytkim przybrzeżnym szlakiem, na który nie zapuściłaby się żadna łódź podwodna. Nie zgadza się nawet, żeby poruszać się zygżakiem.

Wszystkie błędy w nawigacji ze zdumieniem obserwuje przez peryskop Marinesko, który od wieczora 30 stycznia jest już na wysokości Helu. Płynie za oświetlonym „Gustloffem” i towarzyszącym mu torpedowcem „Löwe”. Przez dwie godziny szuka dogodnej pozycji do ataku. Skryty za zastoną nocy i śnieżycy, wynurza się, przechodzi za rufami okrętów, wychodzi na lewą burtę wycieczkowca od strony brzegu.

Kapitan Marinesko dla „Gustloff’a” przeznaczył cztery torpedy, na których marynarze, nudząc się w porcie, wypisali: „Za Ojczyznę”, „Za Stalina”, „Za naród sowiecki” i „Za Leningrad”. O godzinie 23.16 czasu moskiewskiego, czyli dla Niemców o dwie godziny wcześniej, wydaje rozkaz: „Pal!”. Trzy torpedy wyskakują w stronę statku. Czwarta, „Za Stalina”, utknęła w wyrzutni i śmiertelnie zagraża radzieckiej załodze. Na szczęście udaje się ją rozbroić. Pierwsza torpeda godzi w dziób „Gustloff’a” głęboko pod linią wody, tam, gdzie znajdują się pomieszczenia załogi. Tu giną wszyscy. Druga eksploduje pod basenem pływakim na pokładzie E. Roztrzaskane kafelki ze ścian pływalni zabijają śpiące dziewczęta służby pomocniczej i rannych żołnierzy. Stąd nie ocaleje prawie nikt. Trzecia torpeda wybucha w maszynowni. Stają silniki. Nie działa nawet radiotelegraf. Meldunek: „Gustloff” tonie rażony trzema torpedami – może wystać tylko torpedowiec „Löwe”.

Zainteresowanych odsyłamy do tekstów:

- B. Aksamit, *Batory: gwiazdy, skandale i mitość na transatlantyku*, Warszawa 2015
- M. Białoszewski, *Poniemiecka ballada sopocka*, [w:] tegoż, *Wiersze: wybór*, Warszawa 2003
- K. Bonda, *Pochłaniacz*, Warszawa, 2014
- G. Grass, *Idąc rakiem: nowela*, przetł. S. Błaut, Gdańsk 2002
- M. Grzebałkowska, *Czerwone znamię*, [w:] tejże, 1945: *wojna i pokój*, Warszawa 2015
- P. Huelle, *Śpiewaj ogrody*, Kraków 2014
- M. Idczak, *Opowiadania z Ogrodowej*, Warszawa 2004
- J. Piepka, *Wieża z domem*, Warszawa 1974
- J. Schopenhauer, *Gdańskie wspomnienia młodości*, przetł. I objaśnił T. Kruszyński, Wrocław 1959
- M. Żeromska, *Wspomnień ciąg dalszy*, Warszawa 1994

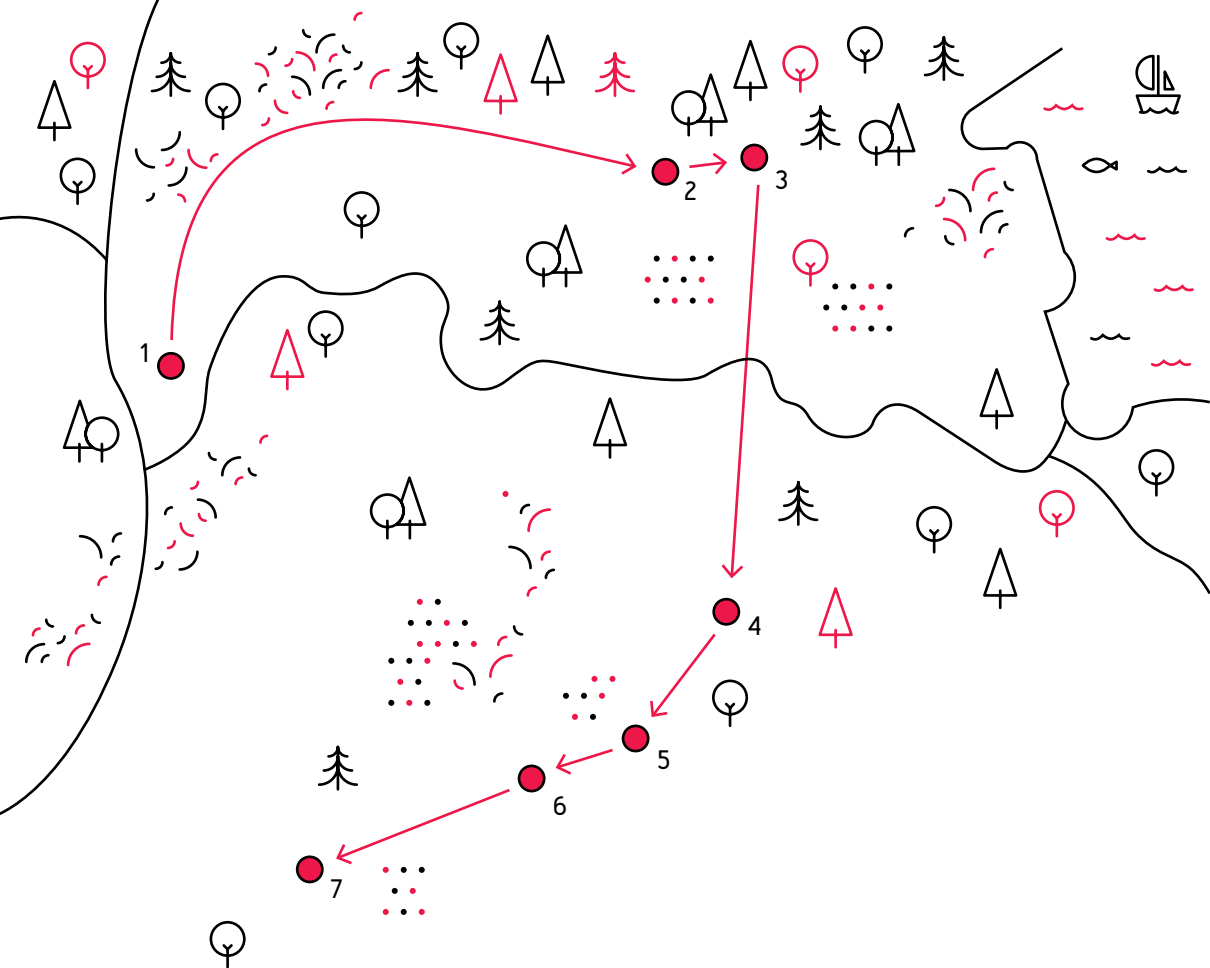
ANDRZEJ KASPEREK

Nauczyciel, pisarz, badacz literatury. Autor tomów *Back in the DDR i inne opowiadania* (2010), *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie* (eseje, 2013) oraz *Koronczarka* (opowiadania, 2013). Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Fot. Maciej Moskwa



Przez Żuławy
z
Andrzejem
Kasperkiem



- 1 Drewnica
- 2 Stegna
- 3 Muzeum Stutthof
- 4 Żelichowo/Cyganek
- 5 Muzeum Żutawskie
[Nowy Dwór Gdański]
- 6 Orłowo
- 7 Stawiec

#1

Wprowadzenie

W barokowym poemacie Sebastiana Klonowica *Flis, to jest Spuszczanie statków Wisłą i innymi rzekami do niej przypadającymi* z 1595 roku autor opisuje pracę flisaków oraz tworzy swoisty przewodnik dla żeglujących po Wiśle. Znajdziemy tam taki fragment opisujący, jak to Wisła została przez „Żuławianów” opanowana, bo:

I przywiedli ją, odjąwszy szaleństwo,
Na postuszeństwo.

I tędy musi płynąć, gdzie jej każą,
Bo ma nad sobą ustawiczną strażą;
Nie leje z brzegu namniejszego szczęta
Groblami zjęta.

Płynie swym torem wyżej nad rolami,
I zawieszonym nurtem nad polami;
Niżej niż rzeka żniesz na swoim łanie
Bogaty manie.

Co – przekładając na dzisiejszą polszczyznę – znaczy, że w końcowym swym biegu Wisła zostaje poskromiona i płynie pomiędzy groblami. W *Dykcjonarzu geograficznym* z roku 1782 czytamy: „Żuława więc znaczy nizinę z błót i bagnisk uczynioną do uprawy sposobną; grunta jej są żyzne i najczęściej przynoszące pożytku”.

Żuławy powstały z żułu, czyli mułu, który niestrudzona Wisła od tysięcy lat niesie do morza. Na średniowiecznych mapach widzimy, że delta rzeki nie jest jeszcze scalonym łądem. To archipeląg wysp, ostrowów, kęp, mokradeł i błót. Dopiero wielka praca ludzi, którzy tu zamieszkiwali – Prusów, Pomorzan, Polaków, Krzyżaków, Niemców, holenderskich mennonitów – sprawiła, że ten teren wydarty morzu stał się urodzajnym polderem

zapewniającym bogactwo swoim mieszkańcom. Bo kto posiadał trudny kunszt gospodarowania na tej ziemi, ten mógł liczyć na nagrodę. Zauważył to autor artykułu w czasopiśmie „Rozmaitości. Pismo Dodatkowe do Gazety Lwowskiej” z roku 1823: „Kraina ta, w której pracowitość i przemysł człowieka silne zachęty i hojne nagrody od natury odbiera [...] w której każdy kmiotek jest panem a każdy pan jest kmiotkiem, kraina ta jakkolwiek mało rozległa do szczupłego rzędu prawdziwie szczęśliwych zakątków ziemi należy. [...] Mieszkania rolników wygodą, czystością i pozorem prawdziwego bogactwa znamienite. [...] O zamożności i bogactwie włościan żuławskich można się przekonać czytając prawa przeciw zbytkowi, który pomiędzy nimi panował”. Bogactwo, czystość, gospodarność mieszkańców tych ziem zadziwiały wszystkich, a brały się przede wszystkim z faktu, że nie było tu pańszczyzny. Tutejsi chłopcy byli dzierżawcami na prawie chełmińskim.

Wincenty Pol, który trafił tu w połowie XIX wieku, zauważył w utworze *Na groblach*: „Zamożność też tu wielka – i przy obyczajach kmięcych bogactwo niezwykle. – Czystość budynków i domów iście holenderska!” A opisując dom gburą żuławskiego, zauważył: „piętro każdego domu [...] jest mieszkaniem zamożnego człowieka: – tu już i kosztowne posadzki – i obicia – i najwytworniejsze meble – tu rzeźbione starożytne szafy, zbiory porcelany i naczyń srebrnych – okazałe zwierciadła, kosztowne zegary, drzwi z palisandru i mahonie – firanki i pokrycia mebli z ciężkich jedwabnych materii – na posadzkach kosztowne angielskie dywany – po ścianach obrazy i złoczone brązy!”.

Ta niewielka kraina miała bogatą historię, była miejscem spotkania wielu nacji, kilku religii, rozmaitych sposobów budowania domów, zwyczajów... Zmieniali się ludzie ją zamieszkujący, niezmienny pozostał krajobraz – płaski, pozornie mało ciekawy, wymagający skupienia uwagi i kontemplacji. Domy podcieniowe i wiatraki, kanały i groble, śluzy i poldery, wierzby i trzciny, łądzie na leniwych rzekach i traktory orzące tłustą glebę. To wszystko można tu spotkać, jeśli podróżny, który na płaskim terenie zwykle przyśpiesza, zdecyduje się zjechać z drogi krajowej E7 i zdjąć nogę z gazu. Warto to zrobić! Później nudna i nieciekawa kraina odstani swoje tajemnice i zachwyci urodą.

Żuławy są od wieków obecne w literaturze – polskiej i niemieckiej. Proponuję wycieczkę po tej krainie. Pisało o niej wielu twórców. Wincenty Pol opisywał ziemię wydartą morzu, zagospodarowaną przez ludzi pracowitych i pobożnych, Czesław Miłosz opiewał melancholijną „Krajinę płaską wziętą

z wody i płomieni”, Melchior Wańkowicz napisał reportaż o osuszaniu zalanych polderów, Günter Grass wspominał, że pachnie tu mlekiem i masłem, a Paweł Huelle zobaczył mennonitów, którzy w „czarnych kapotach zdążają prosto do nieba”...

Jestem od urodzenia związany z tym „płaskim krajem”. Oprowadzę Państwa po ciekawych miejscach, zaproszę do domu podcieniowego, opowiem o inspiracjach żuławskich w moich opowiadaniach z tomów *Back in the DDR...* i *Koronczarka*. A także zaproszę na degustację miejscowego destylatu machandel oraz dań kuchni żuławskiej.

Dom Miłoszów (Drewnica 115)

Rozpoczynamy od wizyty w domu w Drewnicy, w którym zmarła Weronika Miłoszowa, matka Czesława Miłosza. Rodzina poety znalazła się nad Wisłą w ramach tzw. repatriacji, kiedy została zmuszona do opuszczenia Wileńszczyzny, gdzie mieszkała od wieków. W listopadzie 1945 roku przyjechał Miłosz, żeby spotkać się z bliskimi, tu zmarła jego matka, spełniając samarytański uczynek opieki nad chorą na tyfus samotną staruszką Niemką. Kilka dni spędzonych w samotnym domu przy wiślanym wale zaowocowało aż trzema wierszami (*Żuławy*, *Grób matki*, *Z nią*) i reportażem. Czesław Miłosz był na Żuławach dwa razy. Raptem kilka dni. W jego długim, liczącym 93 lata, żywocie to tylko chwilka, mgnienie oka zaledwie. Czy zatem warto zajmować się tym epizodem z życia noblisty? Tak, warto. Obrazy, które poeta zachował pod powiekami, powróciły później w Ameryce jako wspomnienie krainy, która przyciągnęła jego rodzinę, rozbitków z wojennej zawieruchy, a także ziemi, w której pochowano jego matkę. Wspomnienie Żuław pojawi się we fragmencie wiersza.

CZESŁAW MIŁOSZ, *Grób matki* (fragm.)

O jakże huczy w te jesienne noce
Morze u ujścia Wisły. Grzmot napętnia
Płaską nizinę pod rzędami wierzb
I wiatr północny czesze suche trawy,
Dyszy w burzanach i sypie się szkło
Z rozbitych okien martwego kościoła. [...]
W pobliżu miejsca gdzie są potęczone
Ziemia i resztki tej co mnie zrodziła.
Samotność wieczna, krzyk wędrownych ptaków,
I bezustanny, głuchy oddech morza.

Do domu, w którym mieszkali Miłoszowie – jego rodzice, brat i babcia – nie jest łatwo trafić. Musimy spytać we wsi o ulicę Miłosza. Przechodzimy obok zabytkowego wiatraka, jednego z nielicznych ocalałych, kiedyś było ich kilkaset, idziemy wśród pól i docieramy do domu w charakterystycznym dla Żuław stylu wzdłużnym, czyli potęczenia domu mieszkalnego z oborą. Więcej informacji o Miłoszu na Żuławach znajdą państwo w książce zbiorowej *Miłosz na Żuławach. Epizod z biografii poety* oraz na ekspozycji poświęconej Miłoszom w Żuławskim Parku Historycznym w Nowym Dworze Gdańskim. Weronice Miłoszowej poświęcimy jedno z opowiadań. Opisałem w nim jej dni ostatnie.

ANDRZEJ KASPEREK, *Zamyka się furtka Czarnego ogrodu* (fragm.)

Znowu obudził ją sen. Ten sam, od dawna uporczywie się powtarzający. Wyraźnie słyszała, jak zatraskują się jedna po drugiej sztaby wagonów. Uważa ją dawnym szlakiem w kraj mordu i mroku. W pylnym śniegu widziała sanie, konwój sań. Słyszała krzyki żołnierzy, lament kobiet. Wyraźnie widziała swój koniec u brzegów Kołomy, tam gdzie dno morza jest białe od ludzkich czaszek... Albo we śnie pociąg repatriantów ruszał, zostawiając ją samą na pustej stacji, na zawsze. Dawnym szlakiem... Kiedyś już go przebyła i wystarczy. Nigdy więcej. Nie przeżyłaby tego, nie da już rady. Wiedziała, że już nie zaśnie. Kolejna noc, która nie dawała wytchnienia, a była tylko zniemożeniem, była jak przedzieranie się przez rojsty, wtedy kiedy szła do synka, który został u dziadków. I taka dziwna słabość rąk. I czuła, jak ulatuje z niej ta moc dawna, siła litewskich i jaćwieskich przodków. Budziła się we śnie bez głosu i bez mocy. [...]

Drewnica 115. Fot. Maciej Moskwa



Leżała cichutko i nastuchiwała. Coś kołatało, ale skąd ten hałas? Może Andrzej nie zamknął drzwi? Dotknęła czoła, było ciepłe, chyba miała gorączkę. Jęknęła cichutko i próbowała się unieść. Czula ból w plecach, bolał ją kark, to przez te poduszki. Tak się zbijają, że nie można się wyprostować. Przez to robią się bruzdy w tyle szyi pod uchem. To przez to, to nic. Spuściła nogi z tóżka, poczuła szorstki dotyk gałgankowego chodniczka, przesunęła stopę w prawo, w lewo, szukając kapci. Ból. Już chyba nigdy się od niego nie uwolni. To te biedne, artretycznie spuchnięte kolana. Poczłapała do drzwi wejściowych. Były zamknięte. A może to te drugie od kuchni, którymi wychodziło się na tylne podwórko? I te były zakluczone. Wyjrzała na zadworze. W poświacie wielkiego księżycy potyskiwało błoto. Pewnie niedługo zaczną się przymrozki. Ciekawe, jakie tu zimy. Węgla nie ma. Drewna ledwo kilka kubików. U nich zawsze trzeba było mieć wiele opatu, żeby czym palić w litewskie długie zimy. Kto to po nocy hałasuje? A może Czesiu przyjechał i dobija się? Usiadła na krześle i nadstuchiwała, ale to tylko północny wiatr targał gałęzie starych lip. U ujścia Wisły huczało morze. Jego grzmot wypętniał ptaską nizinę pod rzędami wierzb.

To ta aleja lipowa przed wejściem do tego poniemieckiego domu sprawiła, że się tu wprowadzili. Wyglądała prawie tak samo, jak te sprzed dworu w Szetejniach i te sprzed domu Eli i Niny w Krasnogrudzie. Stare lipy... Takie same jak na Litwie. Przypomniała sobie, jak piastunka śpiewała matemu Andrzejkowi kołysankę. [...] A pieniądze się kończą, może Czesiu co przywiezie? Bo inaczej trzeba będzie sprzedać rodowe srebra. Całe ich bogactwo, uratowane przez Dziuska z Głębokiego, skąd siedemnastego września roku pamiętnego uciekali bladym świtem; ona w koszuli nocnej, Aleksander w piżamie, a Andrzej w spodenkach gimnastycznych. Skrzynka ze srebrem, trochę biżuterii, kilka obrazów przodków, papierśnik Andrzeja Mitosza, towarzysza pancernego rannego w bitwie pod Kircholmem, i dokumenty – całe ich bogactwo.

Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa (ul. Gdańska 1, Stegna)

Z Drewnicy pojedziemy do Stegny. Przejedziemy przez Mikoszewo, obok którego znajduje się Przekop Wisły. Ta wieś pojawia się w powieści *Psie lata* Günтера Grassa. Nic w tym dziwnego, bo przecież Żuławy i Kaszuby stanowiły kiedyś dwa płuca Gdańska i były mocno związane z tym miastem. Historia Stegny sięga czasów średniowiecza, tu w 1465 roku obradowały delegacje – polska (był w niej m.in. Jan Długosz) i krzyżacka – omawiające warunki pokoju toruńskiego po wojnie trzydziestoletniej. Zwiedzimy piękny barokowy kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa z 1683 roku. Cały sufit i ściany boczne zdobią malowidła na płótnie przedstawiające sceny biblijne (m.in.: *Chrzest Pana Jezusa, Sen Jakuba, Przypowieść o siewcy*). Oprócz tego ozdobą świątyni są organy i wiszący pod sufitem największy model statku w Polsce; jest on darem żatogi w podzięce za cudem uratowane życie. Kościół w Stegnie opisałem w opowiadaniu.

ANDRZEJ KASPEREK, *Mała Apokalipsa w zakrystii* (fragm.)

We wtorki po lekcjach w szkole chodziliśmy na religię. Szliśmy tawą, całą klasą. Rząd jednakowych czarnych mundurków i fartuchów z potyskującego materiału, do których nasze pracowite matki co kilka dni, a nawet codziennie, przypinały białe kołnierzyki. [...] Ze szkoły na plebanię było bliźutko, zaledwie parę minut na skrót przez stary poniemiecki cmentarz. Lekcje bardzo rzadko rozpoczynały się punktualnie. Proboszcz ciągle się spóźniał. „Pewnie gzi się ze swoją czarnobrewką” – komentował złośliwie Korek. Zastanawiałem się, skąd w jego ustach takie słownictwo. Wcale nam to nie przeszkadzało, mieliśmy więcej czasu dla siebie. Gdzie mieliśmy się spieszyć po szkole – w domu nie czekał na nas komputer z internetem ani konsola do gry. O tej porze nie można już było obejrzeć w telewizji filmu dla drugiej zmiany. Czekano nas pilnowanie młodszego rodzeństwa albo tłuczenie parowanych kartofli dla świń. Kręciliśmy się więc koto naszego kościoła. Był piękny, zbudowano go z pruskiego muru pod koniec XVII wieku. Błaszana chorągiewka, obracająca się na jego wieży nosiła datę 1683, która była wycięta koto dumnego herbu Gdańska – korony i dwóch krzyży. W czasie mszy słuchaliśmy, jak nasz organista wyczynia cuda z setkami piszczałek zabytkowych organów, których zazdrościli nam wczasowicze,



W kościele w Stegnie. Fot. Maciej Moskwa

albo gapiliśmy się na malowane na płótnie obrazy pokrywające sufit i ściany. Najbardziej podobał się nam Sąd Ostateczny umieszczony za ołtarzem. Może nie był to Michał Anioł, ale wielkie biusty oddane z właściwą barokowi przesadą robiły na nas ogromne wrażenie. Ciekawe, że tak hojnie wyposażone przez naturę były tylko stojące w ogniu piekielnym grzesznice. Anonimowy malarz przedstawił zbawione kobiety po prawej stronie ołtarza dużo skromniej. Parę lat później malowidła poddano konserwacji – rezultat był optykany, piersi w ogóle zniknęły. Nie było ich ani po prawej, ani po lewej stronie ołtarza. Rozmyły się i przestały rozpraszać myśli parafian.

Nikt nie umiał nam wyjaśnić dziwnego zjawiska – krążąc koto kościelnego muru znajdowaliśmy małe pieniążki. Było ich dużo, co tydzień pojawiały się nowe. Wyglądało to, jakby ziemia chciała się pozbyć niechcianego brzemienia i wypychała je raz po raz na wierzch. Nie wiedzieliśmy, czy mają jakąś wartość numizmatyczną. [...]

Na coś się jednak przydawały – w niedzielę, w myśl zasady „oddajcie, co kościelne, Kościołowi”, trafiały na tacę. Dwa złote, które dostawaliśmy na ofiarę od rodziców, pozostawały w kieszeni aż do poniedziałku. Nieszczęśni grzesznicy wracaliśmy weseli do domu, z nadzieją, że następnego dnia będziemy mogli zaszaleć. Wreszcie stać nas będzie na kremowego ptysia i oranżadę, a może nawet wystarczy na mandarynkę. A może zamówimy podwójnego loda, z dwóch gatek. Zawsze było to „albo albo”. Nigdy nie mieliśmy na ciastko i oranżadę, na loda i ciastko etc. Zawsze musieliśmy dokonywać tych straszliwych wyborów i kupować jedną rzecz. Wyrzekaliśmy, że nie możemy rozmnażać tych dwuzłotówek niczym Jezus, który poradził sobie z chlebem, winem, a nawet z rybami.

Muzeum Stutthof (ul. Muzealna 6, Sztutowo)

Niestety sielski obraz Żuław został zbrukany w czasie II wojny światowej. W jednej z moich nowel opowiedziałem o historii tej żuławskiej wioski, w której stał stynny dwór, dzierżawiony przez znaną rodzinę patrycjuszki gdańskich.

ANDRZEJ KASPEREK, *Sianokosy u Schopenhauerów* (fragm.)

Te łąki, które tata tak pracowicie wykaształ, bo musiał myśleć o wykarmieniu naszej krowiny zimową porą, należały kiedyś do Schopenhauerów. To na nich wypasały się konie z ich stadniny. Bo Sztutowo od założenia służyło z hodowli koni, zdarzało się, że trzymano ich tam aż trzysta sztuk. Ale to nazwisko Schopenhauer poznałem dużo później, dopiero na studiach. [...] Nazwa Stutthof kojarzyła mi się wcześniej tylko z obozem koncentracyjnym założonym tu już drugiego września 1939 roku. Zdziwiająca, że wyzwolono go dopiero dziewiątego maja 1945 roku. Te dwie daty wyznaczały czas wojennej apokalipsy. KZ Stutthof stawał się więc symbolicznym obrazem wojny. Czymś na kształt II wojny światowej w miniaturze.

To miejsce śmierci dziesiątków tysięcy ludzi stawało się w rocznicę oswo-bodzenia miejscem festynów i majówek. Z połowy województwa zwożono autokarami i ciężarówkami setki (a może i tysiące) uczniów i pracowników, aby manifestowali swoją pamięć, ale tak naprawdę mieli pokazać swój sprzeciw wobec rewizjonistycznej polityki NRF, co robili z zapałem. Tym większym, że można było kupić wtedy bez problemu piwo, parówki, stodycze i pomarańcze. Dzieciaki strzelały z korkowców, pukały kapiszony, kręciła się wata cukrowa, latała słodka oranżada z wytwórni Sieczki. Brakowało tylko balonów i karuzeli. Byłem dwa razy na takim spędzie i nie zapomnę uczucia zniesmaczenia, jakie wzbudził we mnie ten ruchliwy tłum kręcący się obok baraków, koszmarnego betonowego pomnika, budynków komendantury i krematorium. Dość mi widok podpitego faceta w obozowym pasiaku, który rozpychał się wśród spragnionych klientów cisnących się przed ciężarówką Browaru Elbląg, z której sprzedawano piwo jasne „Zdrój”. Bełkotliwie powtarzał swoją mantrę: „Ja kombatant, dwa piwa... Ja kombatant, dwa piwa...” Nikt nie protestował. [...]

Ale miałem mówić o Schopenhauerach, a ich już wtedy w majątku nie było. Arenda dziada filozofa przypada na początek XVIII wieku. Trzeba przyznać,



Muzeum Stutthof. Fot. Maciej Moskwa

że Gdańsk nieźle wycenił perłę w swej koronie. Johann Schopenhauer płacił rocznie pięć tysięcy florenów czynszu. Nie było to mało, ale chyba wszystkim się optało, bo miasto trzy razy przedłużało dzierżawę. To za jego rządów Sztutowo nawiedził car Piotr Wielki z carycą Katarzyną, żeby spędzić tam noc. Wioska leżała bowiem na szlaku pocztowym, który wiódł z Gdańska do Królewca najkrótszą drogą przez Nehrungę, czyli Mierzeję Wiślaną. [...]

We wspomnieniach Joanny Schopenhauer Sztutowo jawi się niczym eden: wygodny dwór, zamożna wieś, piękny, jak tylko być może, sosnowy las, melodyjny głos dzwonek krow, pasących się pod wysokimi drzewami na pachnącym, korzennym poszyciu... Ryb też jest pod dostatkiem: dorszy, ptastug, wielkich łososi i jesiotrów, z których ikry produkuje się na miejscu kawior. Nie ma wprost końca zachwytom nad tą sielską i szczęśliwą krainą. „Po drugiej stronie, w przeciwieństwie do tej wspaniałej scenerii, Wisła otacza roześmianą, urodzajną dolinę: ogrody, łąki, krzaki, ożywione pojedynczymi, wielkimi zagrodami i pięknie zabudowanymi, bogatymi wsiami, jakie nie wszędzie w Niemczech spotkać można, a które zamieszkane są przez ludzi o pięknym typie urody i odróżniających się odrębnymi zwyczajami”.

Obóz koncentracyjny Stutthof trafił do literatury za sprawą litewskiego pisarza Balysa Sruogi. Był on w nim więziony kilka lat. Swe wspomnienia spisał w książce pt. *Las bogów*, przerażającej relacji z miejsca, które pochłonęło około 65 tysięcy ofiar z całej Europy. W książce nie ma martyrologii, jest ona za to pełna ironii i czarnego humoru. Znajdziemy w niej tylko szczegółowe okropieństwa życia w tężerze, opisy szpitala, korupcji, obozowego burdelu, stosunków między więźniami, ale także portrety oprawców, a także przerażającej „ewakuacji” w styczniu 1945 roku, która stała się prawdziwym marszem śmierci. Dwa lata temu ukazało się wznowienie tej książki.

Stutthof pojawia się także w powieści Pawła Huellego *Śpiewaj ogrody*. Bohater utworu – kompozytor Ernest Teodor Hoffman – zostaje skazany przez nazistów na pobyt w obozie. Jest tzw. więźniem honorowym. Nikt go nie bije, ma znośne warunki życia: „Dwa koce, poduszka wypchana sianem. Żadnych apeli. Wymarszów do katorżniczej pracy. Ciepło. Jedzenie z koszarowej kuchni. Spacer wokół baraku godzinę dziennie. Latryna, w której nie tonęło się w nieczystościach. Niewielka łaźnia, w której zagrzać można było wodę, mydło, miednice, czysty ręcznik raz w miesiącu. I raz w miesiącu list i paczka”. Ale cena za te „luksusy” jest straszna – musi codziennie rano napalić w piecyku koto krematorium. Pozornie nie ma w tym nic okropnego, ma tylko napalić w piecu, który ogrzeje komorę gazową, bo zimny wiatr od morza sprawia, że cyklon B nie może zadziałać skutecznie i „technika zawodzi, trzeba powtarzać lub marnować amunicję”. Ta perfidna tortura miała zniszczyć niepokornego kompozytora...

Dom podcieniowy (Żelichowo/Cyganek 31 A)

Kolejny przystanek naszej wyprawy to wizyta w domu podcieniowym w Cyganku-Żelichowie. Niszczący dom podcieniowy kupił, przeniósł z Jelonek i postawił koto cerkwi grekokatolickiej w Cyganku Marek Opitz – człowiek, który wie o Żuławach wszystko. Jest autorem (lub współautorem) świetnych albumów fotograficznych: *Żuławy – czas przełomu*, *Delta Wisty – krajobraz dla konesera* oraz *Żuławy. Podniebny rejs*. Szefuje od lat Muzeum Żuławiemu, do którego pojedziemy później.

Dom można wynająć na nocleg, uroczystość, konferencje czy szkolenia; regularnie odbywają się w nim warsztaty kulinarne. Jak mówi Opitz, „dom stynie z kulturowania tradycji dobrej kuchni i żuławskich zwyczajów. Uczymy tutaj miłośnicy do regionu, pomagając zrozumieć krajobraz, poznać historii ducha miejsca...”.

Zainteresowanych domem podcieniowym zapraszamy do odwiedzenia strony: www.opitz.turystyka.pl

ARTUR WASIELEWSKI, *Kulinaria Żuławskie*

PRZEPIS NA PÓŁGĘSKI

Składniki:

- + 4 piersi gęsie
- + Sól
- + Saletra
- + Cukier
- + Ziele angielskie, liść laurowy, jałowiec

Piersi z gęsi oddzielamy od kości, ale robimy to bardzo delikatnie. Pierś powinna być w całości ze skórą. Sól prażymy na patelni, dodajemy ½ łyżeczki saletry i łyżkę cukru, mieszamy. Piersi obficie nacieramy mieszaniną z każdej strony, układamy w glinianym garnku. Przesypujemy przyprawami i tak układamy kolejną warstwę. Przyciskamy i wyносimy do chłodnej spiżarni. Po pewnym czasie puszcza sok, co dwa trzy dni przekładamy. Po 7–10 dniach wyjmujemy z solanki, można optukać zimną wodą i osuszyć. Składamy mięsem do siebie i zszywamy. Owijamy papierem pergaminowym, obwiązujemy sznurkiem i wędzimy 7 dni zimnym dymem. Można je przechowywać nawet rok, z czasem stają się smaczniejsze.

Muzeum Żuławskie (ul. Kopernika 17, Nowy Dwór Gdański)

W Nowym Dworze Gdańskim, stolicy Żuław Wiślanych, zwiedzimy Muzeum Żuławskie. Można tu zobaczyć fragmenty wiatraka odwadniającego, makietę przedwojennego Tiegenhofu, wystawę poświęconą Mitoszowi i jego rodzinie, a także klucze, подарowane muzeum przez pana Heinricha Korellę, przedwojennego mieszkańca miasta, które zainspirowały mnie do napisania opowiadania, w którym opisałem moment pożegnania z miastem w styczniu 1945 roku.

ANDRZEJ KASPEREK, *Są klucze, ale nie ma drzwi* (fragm.)

Jeszcze miał gorączkę, kiedy Käthe Kosella zapakowała dwie walizki. Syn wziął plecak, tylko niezbędne rzeczy. Nikomu nie wolno było zabrać więcej, niż sam potrafi unieść – walizka w każdą rękę, plecak na garb. Najważniejsze rzeczy: biżuteria, przedmioty wartościowe, dokumenty, komplet garderoby na zmianę. Walizek nie da się unieść daleko, może trzeba je będzie gdzieś zostawić. Z rucksakiem zaś da się maszerować. Jego matka starannie pozamykała drzwi do mieszkania, do kawiarni, do piwnicy, do składziku. Zakłoczyła szafkę, nie zapomniała o kredensie. Klucznica, która wszystko zawsze starannie zamykała. Pamiętała laski wanilii, które stały w wysokim stoju – matka za każdym razem dokładnie sprawdzała, czy wieczko stoika jest dokładnie dociśnięte, a uszczelniająca gumka przypadkiem się nie zagięła. Na końcu przekręciła klucz w zamku drzwi wejściowych. Porządek musiał być! Pęk kluczy na zwykłym metalowym kółku, który zwykle nosiła umocowany przy pasku pod fartuchem, liczył osiem sztuk. Zawsze była dumna z tego, że umie chodzić około domu, że wyuczyła się gospodarstwa. Wyglądało to tak, jakby miasto schroniło się w drzwiach, a drzwi schroniły się w kluczu. I ten klucz był za całe miasteczko, był jego miniaturą, która zmieściła się w skórzanym mieszku. Kiedy matka przekręcała klucz w drzwiach wejściowych, tych od Marktsraße, zamykała jakby pewną epokę. Żadne z nich jeszcze o tym nie wiedziało. Klucz obracał się i chrobotał w zamku i nikt nie słyszał tego, co do nich wówczas mówił. Tej smutnej baśni o końcu jego dzieciństwa, o wiecznym wdowieństwie matki, o „wujku” Gutim, leżącym gdzieś na kamiennej rafie Ławicy Stupskiej, o kresie istnienia małego miasteczka, w którym kroczył rano do przedszkola z koszycz-



Dom poddaniowy w Cyganuku. Fot. Maciej Moskwa

kiem wypełnionym wiktuałami: cynamonową buteczką i kromką chleba z masłem i z talarkiem ementalera. Nikt nie miał czasu, aby wstuchiwać się w zgrzyt przekręcane klucza, wypowiadającego słowa, których nie chcieli słuchać, że ten świat już minął, minął na zawsze. Już go nie będzie... Droga na Gdańsk była pełna wozów z uchodźcami. Dlaczego wszyscy uciekali? Nic z tego nie rozumiał.

Na piętrze muzeum jest wystawa „Na polskim polderze” poświęcona mennonitom. Dzieje mennonitów na Pomorzu zaczynają się w XVI wieku. Warto jednak odnotować, że Holendrów, cenionych ze względu na umiejętności zagospodarowywania gruntów podmokłych, sprowadzano tu od końca XIII wieku. Taki był początek intensywnego, trwającego aż do początków XIX wieku osadnictwa ołędzkiego. Pierwsi wygnańcy z Niderlandów pojawili się na Żutawach Gdańskich, zniszczonych i opuszczonych przez mieszkańców w wyniku katastrofalnych powodzi w latach 1540–1547. Z likwidacją ich skutków nie mogli poradzić sobie miejscowi chłopcy. Mennonickie osadnictwo objęło spustoszone po wojnie polsko-krzyżackiej (1519–1521) Żutawy Malborskie, a następnie rozszerzyło się na inne tereny Rzeczypospolitej. Edmund Kizik, wybitny znawca tej problematyki, swój artykuł o dziejach mennonitów w Gdańsku, Elblągu i na Żutawach zatytułował *Ziemia obiecana – ziemia utracona*. Tytuł trafny i jakże wymowny. Osadnicy znaleźli tu swoje miejsce na ziemi, pozwolono im pracować, żyć i modlić się po swojemu. Pracowici, ambitni, dobrze wykształceni i gospodarni bogacili się sami, ale mieli też pozytywny wpływ na polską gospodarkę wiejską. Przybycie kolonistów z Niderlandów i Fryzji było impulsem rozwojowym dla polskiego rolnictwa. Pokazało, że wydajniejsza i sprawniejsza gospodarka ludzi wolnych dawała większe dochody właścicielom ziemskim. Świat królewskich przywilejów i gwarancji wolności skończył się wraz rozbiorem Polski. Król pruski Fryderyk II nie respektował prawa wyznawców doktryny Menno Simonsa do zwolnienia ze służby wojskowej, nie pozwalał im dokupywać ziemi, nakazał używać języka niemieckiego. Ci, którzy chcieli przestrzegać literalnie religii przodków, zdecydowali się na emigrację do Ameryki lub Rosji. Pod koniec XIX wieku większość mennonitów na ziemiach pruskich identyfikowała się z kulturą niemiecką. Dobrowolna lub częściowo dobrowolna germanizacja oznaczała coraz większe odstępstwa od dawnej ortodoksji, zniknął pacyfizm, język niemiecki stał się mową codzienną, reszty dopełniła pruska szkoła, urzędy i armia. Mennonici, którym przez sto lat pozostawiano pod władzą królów pruskich udawało się ocalić zasadę nienoszenia i nieużywania broni, ponieważ pozwalano im na wykup od służby wojskowej, zostali od 1867 roku zmuszeni na podstawie nowej ustawy o powszechnej służbie wojskowej do stawiania się do poboru. Oznaczało to tylko jedno – dostosować się lub wyemigrować. Druga połowa XIX wieku to nowa fala migracji, do Kanady i Stanów Zjednoczonych, gdzie ich populacja obecnie liczy prawie 600 tysięcy osób – dziesięć razy więcej niż w Europie.



Ci, którzy pozostali na Żutawach, byli już Niemcami wyznania mennonickiego i na tle innych grup ludności żutawskiej wyróżniali się tylko zamożnością. Pacyfizm pozostał legendą. Jej ślady odnajdziemy w opowiadaniu Pawła Huellego.

PAWEŁ HUELLE, *Stół* [fragm.]

[...] pan Kaspar zaczął mówić szybkimi zdaniami, że oni śnią mu się po nocach, że widzi ich jak na jawie, gdy w czarnych kapotach przekraczają bramy obozów, gdy w tych czarnych kapotach zdążają prosto do nieba, a tam, w górze otwierają się wrota i Pan Bóg wita ich z uśmiechem. Bo któż miałby być mu miłszy niż oni, którzy uprawiali tłustą ziemię w pocie czoła i z miłością, oni, którzy przekopywali pracowicie kanały, budowali śluzy, stawiali wiatraki, śpiewali hymny i psalmy i nigdy, pod żadnym pozorem nie chcieli brać broni do ręki? [...] pan Kaspar westchnął cicho i mówił o mennonitach, po których nie został prawie żaden ślad.

W czasie II wojny światowej mieszkańcy Żutaw aż do 1945 roku nie odczuwali żadnych niedogodności związanych z wojną. Żyli i pracowali, jakby wojna ich nie dotyczyła, w porównaniu z innymi regionami Rzeszy było tu niemal sielankowo. Dopiero wieści z terenów zajmowanych przez Armię Czerwoną zaczęły budzić lęk. Informacje o mordach i gwałtach, rabunkach i wandalizmie stawały się coraz częstsze. W styczniu 1945 roku rozpoczął się eksodus mieszkańców Żutaw, a kilka miesięcy później żołnierze niemieccy wysadzili waty i zalali te tereny. Dawny świat delty Wisty umarł bezpowrotnie.



Dom podcieniowy w Ortowie. Fot. Maciej Moskwa

Dom podcieniowy, Orłowo

Pojedziemy do domu podcieniowego Ewy i Artura Wasielewskich, którzy kochają Żuławy, kolekcjonują stare meble, elementy wyposażenia, książki. Spelnili się ich marzenie i kupili dom loewenowski w Orłowie. Właśnie trwa jego remont. Praca gigantyczna, ale też robota wymagająca fachowców. No i oczywiście pieniędzy. Na szczęście dziś już trochę łatwiej o dotacje. W Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Urzędzie Marszałkowskim znaleźli się ludzie, którzy rozumieją konieczność ratowania substancji zabytkowej na Żuławach. Od kilku lat wsparcie finansowe na remont domów otrzymuje co roku kilka osób. Dzięki temu udaje się ocalić te cuda architektury drewnianej. Proszę się nie dziwić, że pojawiają się pojęcia, których nikt nie spodziewa się usłyszeć przy remoncie chłopskiej chaty: fryz, tryglif, sptyw wolutowy, metopa. Bo jeśli dokładnie przyjrzeć się tej konstrukcji, to widać, że nie jest to już budownictwo wiejskie, zgrabna ciesiółka, ale architektura drewniana o cechach klasycystycznych.

ARTUR WASIELEWSKI, *Wstęp do książki Kulinarium żuławskie*

Żuławy to kraina, którą odkrywam ciągle na nowo, zawsze w innym wymiarze. Najpierw jako dziecko odnalazłem tu świat ludzi mieszkających pod jednym dachem ze zwierzętami hodowlanymi, w domach zbudowanych w typie holenderskim, gdzie z kuchni wchodziło się bezpośrednio do obory. Ludzi mówiących zupełnie innym językiem od mojego. Mieszkających na wyspach, żeby ich odwiedzić płynęło się promem. Tam poczułem pierwsze smaki Żuław w nieznanym mi potrawach. Zapadł mnie wtedy w pamięci bajkowy stary sad, gdzie jedliśmy świeże orzechy laskowe zrywane prosto z wielkich leszczyn.

Potem odkryłem niezwykłą architekturę tej krainy, meble żuławskie, sztukę zawartą w zwykłych przedmiotach użytkowych. Niektóre wnętrza domów z meblami i sprzętami przenosiły swoim wyglądem wprost w XIX wiek. Następnie były szlaki wodne, rzeki i kanały, po których pływałem łodzią lub kajakiem. Brzegi połączone zwodzonymi mostami jak na obrazach Vincenta van Gogha.

Moim ostatnim odkryciem jest zapomniana dzisiaj kuchnia żuławska. Niby była od zawsze tuż obok, na wyciągnięcie ręki, ale zamknięta ciężkim wiekiem historii. Powstała tu ongiś wśród ludzi, którzy budowali tę krainę. Tworzona przez przedstawicieli różnych narodów. Kuchnia odmienna, z jej wielokulturowością, zestawieniem różnych smaków i produktów w potrawach.

Do współczesnych kanonów lokalnej kuchni powinno powrócić przyrządanie dostępnych tutaj świeżych ryb – morskich i śródlądowych. Łatwo tu na przykład o zielone śledzie, przyprawy na tarto i łowione w ogromnych ilościach. Powinno powrócić brukiew, która miała tu swój dzień sadzenia określany w kalendarzu, puree z ziemniaków gotowanych razem z warzywami (marchwią lub brukwią, jarmużem) i dokładnie ubijanych. Trzeba przywrócić zagęszczanie zup nie mąką, ale warzywem gotowanym w tej potrawie lub tartym ziemniakiem. Trzeba wznowić dodawanie śmietany do ziemniaczanego puree. Spróbować, jaki jest smak owoców: jabłek i śliwek, w zupełnie nowych zestawieniach z mięsem.

Cmentarz mennonicki, Stawiec

Pożegnamy się w Stawcu, gdzie zwiedzimy cmentarz mennonicki. Należy on do kilku nekropolii rozsianych po Żuławach. Przez wiele lat po wojnie cmentarze te niszczały, ale mimo wszystko uniknęły zagłady w przeciwieństwie do cmentarzy niemieckich, po których nie pozostał prawie żaden ślad. To miejsce jest dziś ogrodzone, zadbane i nie musimy się wstydić, kiedy przyjeżdżają do nas potomkowie dawnych mieszkańców tych ziem z Holandii, Niemiec, USA, a nawet Paragwaju.

Żuławy dziś odżywają. Potwornie zniszczone po wojnie stały się miejscem do życia dla tysięcy Polaków z Kresów Wschodnich, Kieleckiego i zburzonej Warszawy. Na Żuławach całkowita wymiana ludności oznaczała, że znaleźli się tu nowi mieszkańcy, zupełnie tej ziemi nieznający i nierozumiejący. Melchior Wańkowicz pisał: „Ludzie nieraz dojeżdżali łodzią pod próg domu. Już przychodziły mroźne dni. Ludzie jechali do schludnych, podmokłych domków, rwali prog i futryny, podłogi na opat. Prosty to był lud, zza Buga, z Rzeszowskiego, z najbardziej niebezpiecznych kątów, gdzie o wyższych formach gospodarki nie miano pojęcia. Łąki po wyniosłościach, na które wdzierał się chwast, stynne łąki Żuław, na których pasty się wysokomleczne holendry [*sic!*], przybysz zaorywał na kartofliska”. Jeśli do tego dodamy plagę szarobrownictwa i niepewność swego losu na tej ziemi, to obraz będzie prawie pełny. Dawne wielkie gospodarstwa podzielono – osadnicy dostawali po kilka hektarów – lub scalono w Państwowe Gospodarstwa Rolne. Przekleństwem tej ziemi było, że jej powojenni mieszkańcy nie czuli się tu u siebie. Nasuwa się tu góralskie porównanie o „ptokach, krzakach i pniokach”. Niewielu przybyszów decydowało się tu zapuścić korzenie, aby stać się krzakiem, a kiedyś wrośniętym głęboko pniakiem. Wielu było jak ptaki – przylecą, skubną, napaskudzą i odlecą... To wszystko powodowało narastającą degradację żuławskiego krajobrazu, niszczenie świadome i nieświadome zabytków, lekceważenie ziemi, na której się mieszka. Żle i nieumiejętnie uprawiana ziemia nie rodziła obficie, wyrosły ohydne osiedla bloków mieszkalnych

w PGR-ach, wielkie chlewnie i obory zaśmiecały krajobraz, rowy i kanały oraz wały nie były należycie konserwowane... Trwało tak przez dziesięciolecia. Żuławy zyskały złą sławę, słowa „na Żuławy – rowy kopać!” brzmiały jak obelga. Niestety zmiany, które nastąpiły po 1989 roku, nie były dla tej krainy wyzwoleniem. Szybko zlikwidowano PGR-y, ale zupełnie zapomniano o pracownikach i ich rodzinach. Pół miliona ludzi spisano po prostu na straty. Na Żuławach spowodowało to powstanie dużego bezrobocia wśród dawnych robotników rolnych. Katastrofalne zubożenie tej grupy społecznej, stanowiącej większość ludności Żuław, spowodowało pośrednio lawinową deprecjację zabytkowych obiektów architektury i budownictwa żuławskiego. Obiektów historycznych nie potrafią utrzymać w dobrym stanie technicznym ich bezrobotni mieszkańcy i właściciele.

Tak zaprzepaszczano dorobek materialny wielu pokoleń pracowitych i gospodarnych ludzi. Ginęły domy podcieniowe, płonęły wiatraki. Na szczęście znaleźli się ludzie, którzy uznali, że Żuławy to ich mała ojczyzna. Od wielu lat trwa walka o zachowanie zabytków – o ocalenie drewnianych domów podcieniowych, starych cmentarzy, gotyckich kościołów, śluz i kanałów, kolejki wąskotorowej. Bardzo chciałbym, żeby spełniły się słowa z zakończenia wiersza Czesława Miłosza.

CZESŁAW MIŁOSZ, *Żuławy* (fragm.)

Człowiekowi jak życzyć? Niech będzie szczęśliwy.
 Niech własną ręką stworzy niestworzone dziwy,
 Nie złoto, niechaj gwiazdę marzenia wyorze.
 W ciemnozielony ogród niechaj myślą zmieni
 Krainę płaską wziętą z wody i płomieni.
 Gromy. To w ujściu Wisły grzmi spienione morze.

W wierszu Miłosza jest wiele nadziei, że uda się odbudować rolnictwo i ponownie człowiek weźmie w panowanie ten kawałek ziemi wydarty morzu. „Dymiąca z rozlewiska wód powstaje ziemia” – fraza wiersza przypomina wręcz biblijny akt stworzenia z obietnicą raj, którym jest „ciemnozielony ogród”. Ale Żuławy to kraina stworzona przez człowieka, a nie Boga, to najmłodszy kawałek lądu. Może więc nie w Biblii trzeba szukać analogii, lecz w utworze Goethego?

JOHANN WOLFGANG GOETHE, *Faust* (przet. F. Konopka, fragm.)

To bagno, gdyby spuścić raz –
 Ostatnie szczytem byłoby osiągnięć.
 Milionom licznym oddałbym przestrzenie [...]
 Łany zielone, żyzne; z trzody swemi
 Człowiek, wygodnie na najnowszej ziemi
 Osiedlon tuż, pod mocnym wałem tym,
 Co dzielny ludu usypał go czyn,
 Wewnątrz okola wałów istny raj.

Żuławy powstały z muty toczzonego przez Wisłę. Powstały z pracy wielu pokoleń. Jeszcze trzeba sporo trudu, aż będą piękne. Życzenia poety wciąż czekają na spełnienie. Mam nadzieję, że tego doczekam! Ale nie musimy czekać... Zapraszam na Żuławy!

Zainteresowanych odsyłam do tekstów:

P. Huelle, *Opowiadania na czas przeprowadzki*, Londyn 1991

P. Huelle, *Śpiewaj ogrody*, Kraków 2014

A. Kasperek, *Back in the DDR i inne opowiadania*, Gdańsk 2010

A. Kasperek, *Koronczarka*, Sztum 2013

Mitosz na Żuławach. Epizod z biografii poety, red. M. Czermińska,
A. Kasperek, Gdańsk 2013

S. Modrzewski, *Gdzie tataraki, gdzie jerzyki*, Gdańsk 2008

S. Modrzewski, *Wielorzecze*, Gdańsk 2010

M. Opitz, *Żuławy – czas przelotu*, Nowy Dwór Gdański 1998

M. Opitz, P. Sosnowski, *Delta Wisły. Krajobraz dla konesera*,
Nowy Dwór Gdański 2010

M. Opitz, M. Staniucha, *Żuławy – podniebny rejs*, Gdańsk 2013

A. Wasielewski, *Kulinaria żuławskie*, [b.m.] [2015]



Cmentarz mennonicki w Stawcu. Fot. Maciej Moskwa

Krystyna Chwin [Krystyna Lars, Krystyna Turkowska-Chwin] – poetka, redaktorka, wydawca. Publikowała poezję m.in. w „Odrze”, „Kresach”, „Tytule”, „Toposie”, „Twórczości”, „Migotaniach”, „Wyspie”. Wydała tomy poetyckie *Ja, Gustaw, Chirurgia mistyczna, Kraina pamiątek, Umieranki i inne wiersze, Zaprosimy do nieba cały świat, Proste wiersze o szczęściu* i prozę poetycką *Wspólna kąpiel* (wspólnie ze Stefanem Chwinem). Jej poezje przekładane były na język niemiecki, angielski, litewski, szwedzki, rosyjski, duński oraz hebrajski. Jest laureatką Nagrody im. Sępa-Szarzyńskiego, Czerwonej Róży oraz niemieckiej nagrody „fuhr ihre lyrische Dichtung in polnischer Sprache”.

Współpracowała przy redagowaniu książek z serii „Transgresje”. Przygotowała redakcyjnie książki: *Rozmowy „Tytułu”, Gdańsk według Stefana Chwina, Ein Deutsches Tagebuch* (2015). Jest autorką wielu wywiadów z pisarzami. Działalność pisarską i wydawniczą zawsze łączyła z pracą redakcyjną. Była sekretarzem redakcji miesięcznika „Autograf”, redaktorem dwutygodnika „Potop” i redaktorem naczelnym kwartalnika „Tytuł”. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Oddział w Warszawie, Polskiego PEN Clubu. Publikowała teksty i wywiady w „Gazecie Gdańskiej”, „Gazecie Wyborczej”, „Dzienniku Bałtyckim”, „Potopie”, „Wyspie”. Współpracowała z Gdańską Rozgłośnią Polskiego Radia, Radia BBC, przygotowując reportaże, wywiady i autorskie audycje. W TVP Oddział w Gdańsku prowadziła autorski program „Niewygodne pytania”. Była dyrektorem programowym Telewizji Polskiej Oddział w Gdańsku. Obecnie jest właścicielem i redaktorem naczelnym Wydawnictwa „Tytuł”.

KRYSTYNA CHWIN

Przez Gdańsk z Krystyną Chwin

Fot. Anna Maria Binięcka



Wprowadzenie

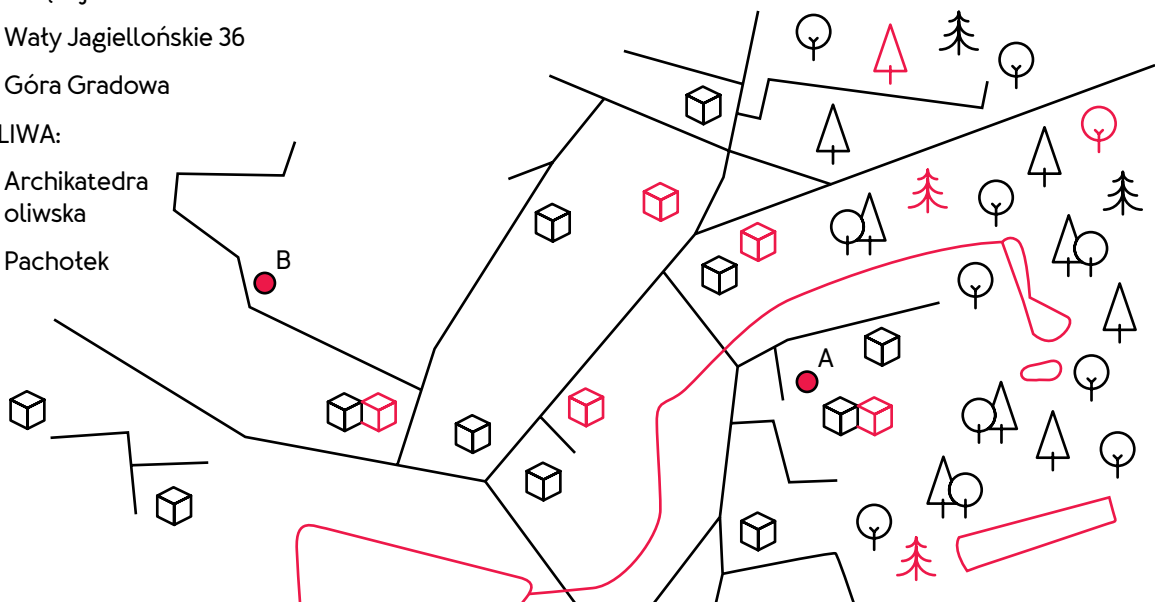


GDAŃSK:

- 1 Europejskie Centrum Solidarności
- 2 Sieroca
- 3 Poczta Polska
- 4 Świętojańska/Pańska
- 5 Waty Jagiellońskie 36
- 6 Góra Gradowa

OLIWA:

- A Archikatedra oliwska
- B Pachotek



W Gdańsku w przestrzeni miasta można odnaleźć wiele miejsc, w których Gdańszczanie w różnych sytuacjach potrafili powiedzieć „nie”. Różne bywał w historii przyczyny i formy niezgody. Odwiedzimy kilka z takich miejsc. Pozostają one w skarbnicy pamięci gdańszczan, piszą o nich, o bohaterach i miejscach, autorzy powieści, poeci i reportażyści. Dla pisarzy są one nie tylko pretekstem do opisu zdarzenia, ale i inspiracją do budowania fabuły czy wiersza. Dlatego będziemy razem wędrować do niektórych z tych miejsc, przypominać sobie bohaterów rzeczywistych i literackich, autorów i osoby, tych, którzy w różnych sytuacjach potrafili powiedzieć „nie”. Odwiedzimy te miejsca także po to, abyśmy razem spróbowali odpowiedzieć sobie na pytanie, skąd się bierze siła wewnętrzna gdańszczan, ich skłonność do wypowiedzania niezgody, niezależność i umiowanie wolności.

Taras Europejskiego Centrum Solidarności (pl. Solidarności 1)

Naszą gdańską wyprawę rozpoczynamy przed siedzibą Europejskiego Centrum Solidarności. Tutaj, na terenie Stoczni (dawniej Stoczni im. Lenina), podpisane zostały Porozumienia Sierpniowe, a samo Centrum otwarto w 25. rocznicę odzyskania wolności. Już sama bryła budynku jest interesującym, wieloznacznym rozwiązaniem architektonicznym. W gmachu mieszczą się warta odwiedzenia wystawa stała, centrum badawcze i naukowe oraz archiwa. Strudzeni wędrowcy mogą także odpocząć wśród zieleni w ogrodzie zimowym. My jednak wjedziemy na szóste piętro, na taras widokowy, z którego roztacza się widok na gdańskie Stare i Główne Miasto oraz panorama terenów postoczniowych. Patrząc z tego miejsca na miasto i na to, co ze Stoczni pozostało, ci z Państwa, którzy tego nie pamiętają, mogą wyobrazić sobie przebieg Wydarzeń Sierpniowych, Strajki w Stoczni, a nawet Grudzień '70.

STEFAN CHWIN, *Dolina Radości* (fragm.)

[...] co robiłem na ulicach Gdańska 17 grudnia? 17 grudnia obudziłem się o świcie w moim mieszkaniu na Kwietnej, bo usłyszałem głos [...] więc ostrożnie, by nie obudzić Anny, wstałem z łóżka, poszedłem na strych, wyjąłem z szafy roboczy kombinezon stoczniowca, pojechałem do Śródmieścia, przeskoczyłem przez płot, po czym w granatowej watówce i żółtym hełmie na głowie wmieszałem się w tłum robotników pod bramą stoczni, gdzie wybuchł strajk.

A kiedy tak w żółtym hełmie na głowie, w granatowej watówce, z kluczem francuskim w rękę wmieszałem się w tłum robotników, którzy w lodowatych podmuchach wiatru stali na zdeptanym śniegu pod bramą stoczni, tuląc w zwiniętej dłoni żarzące się papierosy, do ich żaróżwionych od mrozu uszu doleciał mój szept, cichy jak świst noża przecinającego powietrze: – „Precz z czerwoną burżuazją! Nie będziemy żyć w upodleniu! Niech żyje wolność i sprawiedliwość! Jeszcze Polska nie zginęła!” Ktoś, kto usłyszał mój szept, odciągnął mnie za łokieć od bramy, spokojnie tłumacząc, że wyprowadzać wzburzony tłum na miasto to tyle, co wystawiać ludzkie ciała na rany i śmierć, ale oni rwali się do wyjścia za bramę, chcieli pokazać, że Polska jeszcze nie zginęła, więc po kilku minutach tłum w żółtych hełmach, popchnięty ciepłą falą mojego szeptu, wylał się przez bramę stoczni

na miasto i ośnieżoną ulicą ruszył prosto na Dom Partii, kamienny gmach koło dworca.

Szedłem ośnieżoną ulicą i krzychałem w zimne niebo: „Precz z czerwoną burżuazją! Wolności! Chleba!”, a oni, porwani siłą mego głosu, wzburzeni, gotowi na wszystko, podchwytywali mój krzyk i z rękami splecionymi w żywy mur parli całą szerokością prosto na Dom Partii, by wygarnąć prawdę nikczemnej władzy, a niebo nad miastem, białe niebo, na którym krążyły stada wygłodniałych wron, odpowiadało im kamiennym echem, śnieg zaś drobny sypał na ich twarze.

Szli z podniesionym czółem, dumni, mocni, odważni, walczący o prawdę i sprawiedliwość, chleb i tanią kiełbasę, religię w szkole i wolną Polskę, kochający swój biedny, zniewolony kraj i bojący się Żydów, Niemców, Rosjan, podejrzliwi wobec inteligentów, kochający wódkę, pitkę nożną, zawody na żużlu i Matkę Boską Częstochowską, spragnieni prawdy o rosyjskiej zbrodni w Katyniu i pełni wstretu dla pedałów, śpiewający „Boże, coś Polskę” i obrzucający komunistów rynsztokowymi wyzwiskami, a ja byłem z nimi i całym sercem zachęcałem ich, by szli dalej szeroką asfaltową jezdnią, pod białym niebem zimowego miasta, prosto na Dom Partii, w którego kamiennych murach ukryło się złoto nieznające Boga, Honoru i Ojczyzny.

Taras Europejskiego Centrum Solidarności. Fot. Anna Maria Binińska



KAZIMIERZ NOWOSIELSKI, *Grudzień*

Pochowani nocą w płytkich dołach sumienia
podnoszą się na tokciach pod ciężarem darni
mówią słowami których nie chcemy zrozumieć
świadkowie naszej wielokrotnej śmierci

Pomnik Poległych Stoczniowców 1970 {pl. Solidarności}

Z tarasu Europejskiego Centrum Solidarności widzieliśmy miejsca strajku w stoczni, trasy demonstracji, miejsce, w którym padli zabici w Grudniu '70. Teraz znajdujemy się pod Pomnikiem Poległych Stoczniowców. Tu podczas strajków w stoczni w grudniu 1970 roku padły strzały: zabici zostali dwaj stoczniowcy, a kilkunastu zostało rannych. W miejscu tym w sierpniu 1980 roku stoczniowcy ustawili najpierw drewniany krzyż, na którym studenci Uniwersytetu Gdańskiego przypięli wydrukowaną *Pieśń konfederatów barskich* Juliusza Słowackiego. 16 grudnia 1980 roku miała miejsce uroczystość odświeżenia pomnika, zbudowanego według koncepcji Bogdana Pietruszki. Płaskorzeźbami ozdobili monument Elżbieta Szczodrowska i Robert Pepliński. Podczas uroczystości odświeżenia Daniel Olbrychski odczytał *Psalm XI Dawidowy*. Na pomniku, oprócz płaskorzeźb, które można dokładnie obejrzeć i zinterpretować, znajduje się fragment wiersza Czesława Miłosza *Który skrzywdziłeś człowieka prostego*. Warto też zwrócić uwagę na mur obok, na którym znajdują się liczne tablice pamiątkowe, między innymi tablica z nazwiskami poległych w Grudniu 70. Na murze po prawej stronie umieszczony jest psalm *Pan da siłę swojemu ludowi, Pan da swojemu ludowi błogostawieństwo pokoju* w przekładzie Czesława Miłosza. Miłosz, odwiedzając Gdańsk, po raz pierwszy zobaczył pomnik w czerwcu 1981 roku. Swoje wrażenia ujawniał stopniowo.

Wiersz *Który skrzywdziłeś człowieka prostego* umieszczony na Pomniku w 1980 roku w Gdańsku był bardzo samotną operacją, był napisany w czterech ścianach i z wściekłości na to, co się w Polsce działo. Notabene był napisany w Waszyngtonie...

[*Prywatność poezji. Z Czesławem Miłoszem rozmawia Henryk Grynberg*, [w:] „Kwartalnik Artystyczny” 2006, nr 3–4]

[...] nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek zdobędzie taką popularność, a tym bardziej że zostanie wkomponowany w pomnik. Był to wiersz bardzo osobisty, który włożyłem do szuflady biurka.

[*Pisać na przegranej. Z Czesławem Miłoszem rozmawia Elżbieta Główska*, „Integracje” 1981, cz. 12]

O pomniku pisze w wierszu Kazimierz Nowosielski.

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI, *Przed pomnikiem*

Na nasze głowy
spada przeżarty
gazami śnieg
Topi się na wargach
zimna prawda – sen –
przypomniana modlitwa
Od bramy
podnosi się hymn
dla żywych
i na wytrwanie
– umartym

17 grudnia 1980



Pomnik Poległych Stróżniców w Gdańsku. Fot. Anna Maria Binińska

#1

Ul. Sieroca

Na domu przy ul. Sierociej widzimy wmurowaną tablicę, upamiętniającą Hansa Wiechmanna i niemieckich oraz polskich przeciwników narodowego socjalizmu. W budynku tym mieściła się redakcja *Danziger Volksstimme*, gazety gdańskiej socjaldemokracji. Publikowali w niej między innymi Richard Teclav, Erich Brost, Hans Wiechmann – przeciwnicy narodowego socjalizmu w Wolnym Mieście Gdańsku. Hans Wiechmann został uprowadzony i zamordowany, Richard Teclav i Erich Brost opuścili Gdańsk.

STEFAN CHWIN, *Hanemann* (fragm.)

Pan zna sprawę Wiechmanna? W gasthausie pod Karlsbergiem, gdzie z okazji urodzin rektora Akademii Medycznej, profesora Hansa Ungera, spotkali się oficjele z Senatu, urzędów i Szkoły Technicznej, Hanemann pozwolił sobie na parę uwag na temat śpiewania pieśni masowych i maszerowania z pochodniami, co zabrzmiało nader niestosownie tu, w oliwskiej gospodzie, parę ulic od domu, przy którym tydzień wcześniej „nieznani sprawcy” wciągnęli do samochodu Hansa Wiechmanna, którego ciało – wyłowione po dwóch czy trzech dniach z kanatu portowego w Elbing – trafiło na marmurowy stół w Sali IX. Podobno, jak usłyszałem od paru osób – mówił dalej Zimmermann – wśród gości w gasthausie pod Karlsbergiem był młodzieniec o pięknym aryjskim nazwisku Forster. Pewnie mówi coś panu to nazwisko? [...]

Bo przecież on, Hanemann, już wtedy obracał się w wątpliwym towarzystwie! [...] Przecież on zachodził niejedną raz do tego niedobrego domu na Długim Pobrzeżu, gdzie spotykali się ludzie z „Danziger Volksstime” [...] a dalej, tuż za sklepem Kagana, Robert Suss sprzedawał chyba broń. Pod jakim numerem to było? [...]

Kto tam jeszcze bywał? – Heinsdorff? Erich Brost? Richard Teclav czy może Ernst Loops, którego później pobito tak dotkliwie, że został okaleczony na całe życie? Twarze, twarze tych, którzy przychodzili tam na Długie Pobrzeże, te twarze tonęły we mgle i tylko na moment wynurzały się z niepamięci, by ukazać swój jasny owal, podobny do widma na szklanej fotograficznej płytce.



Ul. Sieroca w Gdańsku. Fot. Maciej Moskwa

Poczta Polska (ul. Obrońców Poczty Polskiej 1/2)

Znajdujemy się przed budynkiem Poczty Polskiej, której pracownicy 1 września 1939 roku stawili opór atakującym oddziałom III Rzeszy. Część polskich pocztowców poległa, wielu odniosło rany podczas obrony placówki, część została rozstrzelana na cmentarzu na Zaspie.

GÜNTER GRASS, *Blaszany bębenek* (fragm.)

Ludzie z Heimwehry przepuścili nas, prawdopodobnie nie pomyśleli nawet, że ten dobrze ubrany pan z trzyletnim chłopcem zmierza do gmachu Poczty. Uprzejmie doradzali nam ostrożność i dopiero wtedy krzyknęli „stać”, kiedy my już minęliśmy okratowaną bramę i staliśmy przed głównym wejściem. Jan odwrócił się niepewnie. Wówczas uchylły się ciężkie drzwi i wciągnięto nas do środka; znaleźliśmy się w mrocznej, przyjemnie chłodnej hali nadawczej Poczty Polskiej.

Poczta Polska

Poczta Polska, masywna ceglana budowla, mogła spokojnie przyjąć pewną ilość takich uderzeń, bez obawy, że ludzom z Heimwehry uda się zatutnić sprawę raz, dwa, szybko zrobić wyłom, dostatecznie szeroki dla frontalnego, często ćwiczzonego natarcia.

Również w pomieszczeniach biurowych wychodzących na podwórze nie zastałem żywej duszy. Lekkomyślność, stwierdziłem. Należałoby zabezpieczyć gmach także od strony Tartacznej. Mieszczący się tam komisariat policji, oddzielony zwyczajnym drewnianym płotem od podwórza Poczty i rampy dla paczek, stanowił tak dogodną pozycję do natarcia, jaką znaleźć można już tylko w książce z obrazkami. Przeszukałem pomieszczenia biurowe, pokój przesyłek poleconych, pokój przekazów pieniężnych, kasę wyptat, dział telegramów: tam leżeli. Leżeli za płytami pancernymi i workami z piaskiem, za przewróconymi meblami biurowymi, strzelając urywanie, niemal skąpo.

W większości pokoi niektóre szyby zawarły już znajomość z karabinami maszynowymi Heimwehry. Powierzchnownie zlustrowałem szkody i dokonałem

porównań z owymi szybami, które pod wrażeniem mojego diamentowego głosu pękały w równomiernie, głęboko oddychających czasach pokoju.

Zegar w hali nadawczej powiedział mi, że jest dwadzieścia po czwartej. Gdy było dwadzieścia jeden po czwartej, mogłem sądzić, że pierwsze działania bojowe nie wyrządziły mechanizmowi zegara żadnej szkody. Chodził, a ja nie wiedziałem, czy tę obojętność czasu mam wziąć za zły, czy dobry omen. [...] byłem świadkiem, jak przyniesiono pierwszych dwóch rannych. [...] Ledwie owinęli mu bandażem lekką ranę, chciał zerwać się, chwycić swój karabin i ponownie rzucić się na worki z piaskiem, które jednak nie były chyba kuloodporne. Jak to dobrze, że lekkie, spowodowane dużym upływem krwi omdlenie powaliło go z powrotem na posadzkę i nakazało ów spokój, bez którego starszy pan tuż po zranieniu nie odzyska sił. [...] Drugi ranny leżał, dysząc ciężko na worku ze słomą, i nie zdradzał już tęsknoty za workami z piaskiem. W regularnych odstępach krzyczał głośno i bez wstydu, bo dostał postrzał w brzuch. [...] rozległy się dwa niemal równoczesne uderzenia granatów powyżej i obok głównego wejścia do hali nadawczej. Szafy, które przesunięto do wejścia, otworzyły się raptownie i ukazały stosy spiętych akt, które potem wyfrunęły w górę, straciły porządne oparcie, aby lądując i ślizgając się na kamiennej posadzce, trącać i zakrywać kartki, których w myśl reguł buchalterii nigdy nie miały prawa poznać. Nie trzeba dodawać, że wyleciały pozostałe szyby, że ze ścian i z sufitu spadły większe i mniejsze kawałki tynku. Przez chmury gipsu i wapna przywleczono na środek hali następnego rannego, potem jednak, na rozkaz doktora Michonia w hełmie wojskowym, wniesiono go po schodach na pierwsze piętro.

Poczta Polska w Gdańsku. Fot. Anna Maria Błyniecka



Gdańska ulica

Gdańskie ulice były miejscem wielu protestów w różnych okresach historii miasta. Bunty rzemieślników zdarzały się już w średniowieczu i do ich tradycji chętnie nawiązywał w swojej twórczości Günter Grass. Najbardziej dramatyczne karty protestów gdańskich to rok 1970, zajścia na Wałach Jagiellońskich, przed gmachem byłego Komitetu Wojewódzkiego PZPR, przed dworcem PKP, na ul. Rajskiej, oraz przed gdańskim wieżowcem Zieleniak. O zdarzeniach tych pisali gdańscy poeci, m.in. Antoni Pawlak, poeta z pokolenia Nowej Fali.

ANTONI PAWLAK, ***

przez moje miasto
bez przerwy przeciągają pochody demonstrantów
mijając się w ciszy
kiedy wychodzę z domu
muszę bardzo uważać
aby nie przytączyć się
do niewłaściwej demonstracji
jest to tym trudniejsze
że dawno już wyszły z użycia transparenty
i nikt nie wznosi okrzyków

MIROSLAW TOMASZEWSKI, *Marynarka* [fragm.]

15 grudnia 1970, Centrum Gdańska

Piotr czuł się jak wilk, za którego przebrał się na pierwsze szkolne przedstawienie. Dwanaście lat później nie walczył o rolę, jak wtedy z chłopcami z klasy. Dostał ją z przydziału, w zupełnie innej bajce, która niezbyt mu się podobała, choć była równie straszna.

W koszarach gdzieś na peryferiach Gdańska, dokąd w nocy zwieziono jeszcze kilkunastu innych chłopaków w jego wieku, wyfasował stoczniowe ubranie, żółty kask z napisem K-2 i tom wykuty ze zbrojeniowego pręta. Dopiero wtedy dowiedział się, że nie będzie jedynym, który w najnowszej sztuce kostiumowej odgrywać ma czarny charakter. Oprócz przebrania wszyscy aktorzy dostali także instrukcje, co mają robić, i po kieliszku jakiegoś lekarstwa, po którym Piotr poczuł się znacznie pewniej. W mikrobusie

wiozącym całą grupę do centrum energia wszystkich rozsadała i gdyby nie przebrany za listonosza porucznik, doszłoby do kilku bójek. Kiedy wysiedli na zapleczu ruin jakiegoś kościoła, Piotr nadal czuł, że potrafi przetranszować góry, ale dobry humor nagle przepadł, bo chłopak zdał sobie sprawę, że dalej musi radzić sobie sam. [...]

Jeszcze w koszarach podpowiedziano im tylko, że mają wybierać miejsca, w których jest dużo ludzi, hałas i zamęt. Piotr nigdy wcześniej nie był w Gdańsku i nie miał pojęcia, dokąd iść, ale dość szybko trafił na grupkę ludzi, którzy stali na ulicy naprzeciwko sklepu odzieżowego.

Gdy tafla witryny, uderzona łomem, pękła, niewiele brakowało, by oberwał ostro zakończonym większym kawałkiem szkła. Uskoczył w ostatniej chwili i szybko wszedł do sklepu. Zdjął z wieszaka pierwszy z brzegu garnitur i wyszedł, ale po chwili cofnął się po płaszcz. Nikt nie wziął z niego przykładu, więc ostentacyjnie stanął z ubraniami na rozbitej wystawie, demonstrując tłumowi zdobycz. Mimo to wciąż nie było widać naśladowców.

– Ludzie, bierzcie! – krzyknął, przypominając sobie zdania ze scenariusza, które za porucznikiem listonoszem powtarzał z grupą w mikrobusie. – Nie chcą więcej płacić, to sami sobie weźmiemy. Za podwyżkę cen mięsa! [...]

– Jak nam Gomułka nie płaci, możemy brać za darmo! Przy tych pensjach do usranej śmierci nie zarobicie na taki płaszcz. Tam jest tego pełno. Bierzcie! Pomogło. Przez rozbitą witrynę do sklepu wskoczył chłopak w wyświechtanej kurtce, skuszony wetnianym płaszczem, przygodą. A może po prostu miał zwyczaj wchodzić tam, gdzie go zapraszano? Piotrowi wydawało się, że za małałatem idzie następny chętny, robotnik w kasku, ale okazało się, że jego cel jest zupełnie inny.

– Odnieś to, idioto! – krzyknął do Piotra. – Chcesz, żeby jutro w telewizji o nas trąbili?

– Należy nam się! – Piotr szedł w zaparte, zgodnie z instrukcją. – Śmierć komunie!

– Jesteś ze stoczni?

– Jasne.

– Z którego wydziału? [...]

Jeszcze chwilę wcześniej Piotr pamiętał, co powinien powiedzieć, ale nagle poczuł, że ma w głowie pustkę. Chciał sięgnąć do kieszeni bluzy po stoczniową przepustkę, którą dostał razem z kaskiem, ale zdał sobie sprawę, że

w niczym nie zwiększy to jego wiarygodności. W dodatku zapodział gdzieś tom.

Widząc, że krąg wokół niego się zacieśnia, upuścił ubrania i rzucił się do ucieczki. [...] instrukcja w pierwszej kolejności nakazywała zwiewać. Niezatrzymywany przez nikogo pobiegł w obce miasto, pełne domów z czerwonych cegieł, ruin i odrestaurowanych kamienic. Zatrzymał się dopiero na nabrzeżu wąskiej rzeki, płynącej wolno w wymurowanym korycie. O tym, że dotarł do starej Motławy, dowiedział się kilka lat później, gdy przyjechał tu na wycieczkę z żoną, ale nawet jej nie powiedział, że był tu już wcześniej. W grudniu 1970 miotał się po ponemieckim mieście, tak różnym od rodzinnej Kościerzyny, że wszystko w nim wydało mu się inne, większe i jakby zagraniczne. [...]

Scenariusz nie precyzował, w jaki sposób i gdzie ma zakończyć akcję. Nie miał cywilnego ubrania, więc nie mógł pozbyć się stocznioowego stroju. Wydawało mu się, że wszyscy na ulicy już wiedzą, że włamał się do sklepu odzieżowego, i patrzą na niego z odrazą, chociaż wyglądających podobnie do niego zabłąkanych robotników było na ulicach wielu. Pętał się po mieście, wypatrując ruin kościoła, gdy nagle usłyszał brzęk bitego szkła. Wtedy zdał sobie sprawę, że koledzy z mikrobusu wciąż pracują, a jego misja jeszcze się nie skończyła.



Gdańska ulica. Fot. Maciej Moskwa

Dominikanie i inni (róg ul. Świętojańskiej i Pańskiej)

Gdański duch niepokorny wyrażał swoją niezgodę na istniejący świat w komunizmie nie tylko na gdańskich ulicach i nie tylko w formie demonstracji. Słowo „nie” rozbrzmiewało też w języku literatury, filozofii i refleksji religijnej w gmachu kościoła św. Mikołaja i kościele św. Bartłomieja. Tam, w salkach parafii, spotykali się gdańscy pisarze, artyści, księża i dziennikarze, rozmawiając nie tylko o tym, jak w Polsce jest, ale także o tym, jak w Polsce być powinno. Szczególne znaczenie miały spotkania na Górcie w kościele św. Mikołaja, gdzie z publicznością spotykali się twórcy skupieni w kręgu „Wiązania”.

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI, *Świętojańska, róg Pańskiej* (fragment)

Kiedy 13 grudnia 1981 roku mój sąsiad zza ściany, obudziwszy mnie skoro świt, stanął w drzwiach ze słowami „Jest stan wojenny”, widocznie popatrzyłem na niego z tak głupawym zdziwieniem, że odwrócił się na pięcie i wyszedł. Bo jednak, mimo wszystko, to było zaskoczenie, z którym w pierwszej chwili nie wiadomo było, co zrobić, gdzie je umieścić, jak sobie z nim poradzić. [...]

Wracam wspomnieniami do pierwszych godzin pamiętnego poranka, aby raz jeszcze uzmysłowić sobie tak wtedy dojmujące poczucie zdezorientowania przemieszane z rodzącą się determinacją, z którego to stanu powoli, nieustannie wiążąc zrywające się nitki sensów i zależności, trzeba było wyprowadzać chyba jednak odmienny sposób na życie. [...] Pamiętam, że następnego dnia, w poniedziałek, klucząc między patrolami wojska i zomowców, dotarłem do siedziby Gdańskiego Oddziału ZLP przy ul. Mariackiej. Drzwi lokalu były zamknięte. Informacji o tym, co się dzieje z literatami, trzeba było szukać gdzie indziej. [...] Już w początkowych tygodniach stanu wojennego dominikański kościół św. Mikołaja stał się i miejscem schronienia, i miejscem działania dla porozbijanych środowisk twórczych. Chyba pierwsi odnaleźli się tam dziennikarze, których pogrudniowe represje dotknęły najbardziej; w samym tylko Trójmieście zwolniono ich z pracy ponad siedemdziesięciu. [...] Nie pamiętam już daty, ale to właśnie tutaj powstała pierwsza po 13 grudnia wolna, gablotkowa gazeta Skarbczyk Dominikański, tłumnie czytana przez spragnionych prawdziwych wiadomości wiernych i „obcykiwana” fotograficznymi aparatami przez pracowników służb specjalnych. [...] Niektórym wydawało się na początku, że uczestniczą albo



Ul. Pańska w Gdańsku. Fot. Maciej Moskwa

będą uczestniczyć w jakiejś nowej konspiracji pod dachem świątyni, ze zre-woltowanym ludem idącym pod sztandarami z Matką Boską, która – oczywiście – „ma nas w szczególnej opiece”. [...] Kiedyś na jednym ze spotkań ktoś rozpoznał tajniaka, który, sądząc, iż będzie to zgromadzenie bardziej publiczne i w związku z tym zdoła zachować swą anonimowość, srodze się zawiódł, i już miano go z trzaskiem wyrzucić za drzwi, kiedy ojciec Sławomir, widząc, co się dzieje, rzekł: „Niech zostanie. Przecież tu nie upominamy się o nic więcej, niż się nam należy z naturalnego prawa”. [...]

Nie radzili sobie z tym dominikaninem komuniści, czasem nie radzili sobie i przełożeni, czasem i on sam z sobą nie mógł sobie poradzić, a wtedy mówił o „czasie ogołocenia”, który przychodzi i który także trzeba w sobie prze-modlić. [...] W każdy ostatni piątek miesiąca przyklasztorna sala, najczęściej wypełniona do ostatniego miejsca, zamieniała się po trosze w teatrzyk niezwykłej codzienności, w gazetę ulicy, ekskluzywny salon i kabaret... [...] Do wakacji 1989 roku ukazało się bodajże 18 numerów „gazety”. Obok tych przedsięwzięć szły w Polskę redagowane tu publikacje.

Dom Partii (Waty Jagiellońskie 36)

Znajdujemy się teraz przed tzw. Domem Partii, czyli gmachem dawnego Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy ul. Waty Jagiellońskie. Dnia 15 grudnia 1970 rano przed gmachem tym miała miejsce wielka demonstracja stoczniovców i mieszkańców Gdańska, rozpędzona przez oddziały milicji i wojska. Gmach został podpalony prawdopodobnie przez demonstrantów albo funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa w cywilu. Był to jeden z najbardziej dramatycznych epizodów tzw. wydarzeń grudniowych.

STEFAN CHWIN, *Dolina Radości* (fragm.)

A potem, kiedyśmy doszli pod sam Dom Partii, wymknąłem się z tłumem, spowitem się w obłok, zniknąłem we mgle, zrzuciłem z siebie robotniczy kombinezon, włożyłem na siebie mundur połowy oficera Ludowego Wojska Polskiego, przypasałem do biodra kaburę rosyjskiego pistoletu i w mundurze polskiego oficera z gwiazdkami na pagonach, w wojskowej czapce z blaszanym orzełkiem, z raportówką przewieszoną przez ramię, w służbowych skórzanych rękawiczkach, w butach z cholewami, wszedłem tylnym wejściem do Domu Partii. [...] podniosłem słuchawkę i wierny przysiędze

żołnierza Ludowego Wojska Polskiego, twardym głosem zacząłem mówić do zatóg czotógów, które nadjeżdżały od strony Siedlec, by bronić Domu Partii przed falą zbuntowanego tłumu, nadciągającą pod biało-czerwonymi flagami od strony stoczni.

„Uwaga, uwaga! [...] – Tu dowództwo Okręgu Pomorskiego Ludowego Wojska Polskiego. Dzisiaj w godzinach przedpołudniowych na ulicach Gdańska doszło do niepokojów wywołanych przez niemiecką piątą kolumnę, która od końca wojny ukrywała się wśród ludności polskiej [...] Celem zbrodniczych działań jest oderwanie Gdańska od Polski i przyłączenie go do Niemiec. [...]”

A oni, słysząc mój głos w słuchawkach hełmofonów, przyspieszali obroty silników ciężkich czotógów T-54 i ze zgrzytem gąsienic ślizgających się po tramwajowych torach wjeżdżali swoimi czotęgami na Hucisko, i skręcali w stronę Domu Partii, i przez wizjery swoich czotógów widzieli przed sobą tłum w robotniczych kombinezonach, który nadciągał jak fala ciemnego przypiływu od strony stoczni, kotysząc biało-czerwonymi flagami i strzelali z karabinów maszynowych prosto w tłum. [...] zniknąłem we mgle, po czym w kombinezonie stoczniovców wracałem pod Dom Partii, wbiegałem w tłum robotników otaczających kamienny gmach, wyjmowałem z kieszeni butelkę z łatwopalnym płynem i krzycząc: „Precz z komuną!” przez wybite okno wrzucałem ją do piwnicy Domu Partii.

Dom Partii stawał w ogniu. Ludzie z Domu Partii przerażeni widokiem płomieni, które szybko szły w górę piętro za piętro, uciekali na coraz wyższe kondygnacje, wzywając na ratunek straży pożarną, czerwone wozy strażackie z remizy we Wrzeszczu podjeżdżały z wyciem syren pod płonący budynek, ale ja krzyczałem do tłumu: „Precz z czerwoną burżuazją! Niech komuchy, płatne pachołki Rosji, spalą się żywcem za naszą krzywdę i tży naszych polskich dzieci! Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!” i tłum, słysząc moje okrzyki nie dopuszczał wozów strażackich pod płonący budynek, a ludzie z Domu Partii, których ogień uwięził na wyższych piętrach, spuszczali z wysokich okien czerwone chodniki i zjeżdżali w dół na czerwonych chodnikach, ratując się przed topielą ognia.

Czarne kłęby dymu wzbijały się nad Domem Partii.

Góra Gradowa (wejście od strony ul. 3 Maja lub ul. Gradowej)

Jesteśmy na Gradowej Górze, wzniesieniu, u którego podnóża znajduje się dworzec kolejowy w Gdańsku. Był to przez wiele wieków jeden z najważniejszych punktów strategicznych miasta. Jak mówi legenda, z tego miejsca artyleria Napoleona bombardowała Gdańsk na początku wieku XIX, wzniesając wielkie pożary na Wyspie Spichrzów. Góra Gradowa należała do systemu obronnego miasta, w czasach pruskich została silnie ufortyfikowana. Po niemiecku nazywała się Hagelsberg. Z tego wzniesienia widać dobrze topografię gdańskich protestów: tereny byłej Stoczni Gdańskiej, miejsca, gdzie toczyły się walki między ludnością a siłami bezpieczeństwa w grudniu 1970 roku, a nawet okolice Targu Rybnego, gdzie znajduje się pomnik upamiętniający rzeź Gdańska w 1308 roku, kiedy to miasto zajęli rycerze Zakonu Krzyżackiego. W pogodne dni dobrze też stąd widać pomnik najstynniejszej gdańskiej niezgody z 1939 – półwysp u ujścia Wisły, Westerplatte, gdzie znajdowała się Polska Składnica Amunicyjna, której żołnierze przez siedem dni odpierali ataki niemieckiego pancernika Schleswig Holstein.

JERZY SAMP, *Okrutnik z Gradowej Góry* (fragm.)

Z dwóch wzgórz dominujących nad Gdańskiem jedno uznawano za Boskie, drugie za diabelskie. Pierwsze z nich zaczęto z czasem określać mianem Biskupiej Górki, drugie zaś, czyli to o zdecydowanie złej sławie, nazywano różnie, najczęściej jednak Gradową albo też Hagelową Córą.

Gdy nikt jeszcze w tych stronach nie słyszał ani o biskupach, ani nawet o chrześcijańskiej religii, na szczycie Gradowej Góry stał już drewniany, solidny zamek. Dostać się do niego było niezmiernie trudno, a zdobycie go – wydawało się rzeczą wręcz niemożliwą. Przez wiele lat władał nim pewien pogański książę, któremu na imię było Hagel.

Porywczy, przebiegły i okrutny nie tylko w stosunku do swych poddanych, ale i własnej rodziny, nie cieszył się dobrą sławą. Nikt jednak nie ważył się mu przeciwstawić. Hagel zawsze osiągał to, czego pragnął, obojętnie – siłą czy też podstępem. Swoją straż przyboczną trzymał krótko, poddanych zaś gnębił i traktował jak niewolników, nękał ich coraz to większymi żądaniami danin, jakie zmuszeni byli mu składać.

O tym, iż był człowiekiem próżnym, otaczającym się przepychem, samolubnym i mściwym, wiedzieli wszyscy, lecz któż śmiałby mówić o tym głośno. Mało to razy widziano spętanych niczym bydło i prowadzonych na zamczysko nieszczęśników, którzy nigdy już nic wrócili do swoich rodzin? Mało to dziewczek służebnych siłą zapędzić kazał do siebie Hagel po to rzekomo, by złożył je potem pogańskim bogom, czy też może raczej demonom, w ofierze na kamiennym ołtarzu swej gontyny? [...]

Ludzie dobrze wiedzieli o rozmaitych niecznych czynach swojego władcy. Nie mogli mu na przykład wybaczyć mordu, jakiego dopuścili się Hagelowi siepacze na ojcu małej Rai, której piękną matkę niby to z litości dla wdowy zabrał książę potem na swój zamek, a następnie uczynił małżonką.

Minęły lata. Pozostająca przy matce dziewczynka zaczęła dorastać. Nikt nie mógł dorównać jej urodą, a rozpustny Hagel strzec kazał pasierbicy, karząc chłostą każdego, kto by się ośmielił dłużej zatrzymać wzrok na pięknej Rai.

Raz do roku na Gradowej Górze odbywała się wielka pogańska uczta. [...] W tym jednym, wyjątkowym dniu, trwającym dokładnie tak długo jak noc, przystęp na zamek mieli także ludzie wybrani spośród pospólstwa. Musieli jednak złożyć przed swym panem hojne dary [...]. Pewnego roku ów orszak z wymuszonymi darami zamykał dobrze zbudowany i bardzo urodziwy młody rybak znad zatoki. Na imię mu było Dan. Gdy ujrzał w księżęcej świetle piękną Raję, nikogo i niczego odtąd już nie dostrzegał prócz niej. Zapomniał nawet, komu to dać mu kazano kosz piętna wielkich jak pięści bryt bursztynu, i zamiast przed Hagelem, złożył go u stóp najpiękniejszej z dziewcząt, jakie przyszło mu dotąd oglądać.

Na myśl o tym, co za chwilę mogło się wydarzyć, Raja omal nie zemdląta. [...]

Purpurowy ze złości Hagel niechybnie zabiłby śmiałka na miejscu swą nabijaną żelaznymi ćwiekami maczugą. Nie zdążył jednak się podnieść, gdy już czterech jego wojów ujęto winowajcę i powlekło skrępowanego powrozem rybaka na plac ku pręgierzowi. [...] To, iż przeżył, zawdzięczać mógł tylko silnemu organizmowi i „końskiemu” zdrowiu, każdy inny wszak na jego miejscu, po kilkudziesięciu uderzeniach bykowcem, byłby wyzionął ducha.

Tych, którzy chcą poznać dalsze losy Dana i Raji i dowiedzieć się, skąd nazwy Gradowa Góra i Danzig, odsyłamy do książki Jerzego Sampa *Legendy gdańskie. Dawne, nowe i najnowsze* (Gdańsk 2000).



Dom Partii. Fot. Maciej Moskwa



Widok z Góry Gradowej. Fot. Anna Maria Binińska

Katedra w Oliwie (ul. Biskupa Edmunda Nowickiego 5)

Gotycki kościół z barokowymi zdobieniami na fasadzie, który widzimy po drugiej stronie placu, to katedra w Oliwie pod wezwaniem św. Trójcy, która była miejscem schronienia dla tych, którym groziły prześladowania i represje. Już w czasach reformacji wielokrotnie napadany i niszczony zapisał się w historii Gdańska także jako miejsce, gdzie w 1660 roku Polska podpisała po „potopie” układ pokojowy ze Szwecją. Mieszkańcy klasztoru protestowali tutaj przeciwko przekształceniu się całego Gdańska w miasto protestanckie.

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI, *W Oliwie*

Może to być opowieść o zrównaniu dnia z nocą
albo morenowe kolory schodzące z horyzontu
zwilżone usta wschodów i zachodów
rozśpiewane od jezior kaszubskich
po zatokę wylegającą się na oleistym piasku
również głośnie przekleństwa nocnych wścogów
i twardy sen żołnierzy pod nawą św. Jakuba
dalekie dzielnice zajęte obcym milczeniem
katedra niby z mroku wyptoszony motyl
– tu gdzie powoli zadomowiają się moje sny
jak szczekanie psa
szukające nocy bezpiecznej

STEFAN CHWIN, *Kartki z dziennika* (fragm.)

Czekolada i gwiazdy

A gdy tak ja i Mama spokojnie sobie szliśmy w stronę Katedry żwirowanymi alejkami wiosennego Parku, gdyśmy tak wędrowali wzdłuż stawów i przyprószonych szronem klombów, czując delikatne powiewy słonecznego powietrza, zapowiadającego ocieplenie, gdyśmy tak mijali palmiarnię, spalony Pałac Opatów i szumiący wodospad oliwskiego potoku, różowiejące słońce jak zawsze o tej porze roku dotykało już drzew nad Doliną Radości, bukowy las na stokach wzgórza Pachotek milczał [...].

A koło piątej Mama weszła do Katedry, stanęła pośrodku głównej nawy między rzędami dębowych ławek i wtedy nagle otworzyło się nad nią – niebo! [...] W wielkiej świątyni na białe, świeżo pomalowane gotyckie sklepienie niewidzialni robotnicy, naprawiający dach, przez malutkie otwory wciągali na długich drutach złote gwiazdy, które miały ozdobić średniowieczny gmach – na moje powitanie. Stanęła między ławkami, drobna, z włosami spiętymi w warkocz, w granatowej sukience z białym kotnierzykiem, z prawą dłoń przyłożoną do brzucha, czułem to łagodne dotknięcie, jakby mnie delikatnie zapraszała do wyjścia na świat, odpowiadałem na nie lekkim stukaniem pięty w kulistą ściankę brzucha, a ona stała pośrodku Katedry między dwoma rzędami dębowych ławek i z dłoń na brzuchu, czując pod palcami moją odpowiedź, patrzyła na białe gotyckie niebo nad naszymi głowami – nad jej głową uniesioną do góry, nad moją głową skierowaną w dół – i tak razem, patrząc to na Niebo (ona), to na Ziemię (ja), czekaliśmy razem na nieuchronne rozwiązanie, które miało niebawem nastąpić.

W katedrze w Oliwie. Fot. Maciej Moskwa



Wzgórze Pachotek (wejście nieopodal rogu ul. Opackiej i Spacerowej)

Jesteśmy na wzgórzu Pachotek, najwyższym wzniesieniu w Oliwie, z którego widać piękną panoramę dzielnicy. W czasach niemieckich wzgórze to nosiło nazwę Karlsberg, od imienia Karola Hohenzollerna, jednego z opatów klasztoru oliwskiego. Obok Pachotka, nieco na północny zachód, znajduje się wzgórze Luiseberg, od imienia cesarzowej Prus Luisy. Po roku 1945 nazwę wzgórza przemianowano na Wzgórze Kościuszki. Na wzgórzu tym do dzisiaj istnieją pozostałości pomnika cesarzowej Luisy, monument przerobiono na pomnik ku czci bitwy pod Oliwą z 1627 roku.

STEFAN CHWIN, *Panna Ferbelin* (fragm.)

Był mglisty, chłodny poranek, gdy w oliwskiej Katedrze pod wezwaniem św. Trójcy zabtysty uroczyste światła [...]

Nagie wzgórze Karlsberg, spowite białą mgłą, majaczyło nad Katedrą jak wynurzający się z porannej rosy głąz ofiarny. Od strony morza szła na miasto cisza, którą koło godziny dziesiątej zaczęły mącić gęste tłumy nadciągających w sierpniowym słońcu polnymi drogami od strony Zoppot, Gletkau, Langfuhr, a nawet Brosen i Adlerhorst, bo władze prowincji ogłosily dzień sprawiedliwej kary dniem wolnym od pracy, by ludność mogła uczestniczyć w doniosłym wydarzeniu, na które – jak pisano w specjalnym wydaniu „Danziger Beobachter” – czekali wszyscy, więc każdy, kto tylko mógł oderwać się od domowych zajęć, szedł polnymi drogami, by zdążyć do Oliwy pod wzgórze Karlsberg na czas.

Egzekucja została wyznaczona na godzinę dwunastą w południe. [...] już poprzedniego dnia kordon policji pod dowództwem porucznika Jakoba Henelsa przeczesał las wokół Karlsbergu, by nie zdarzyło się nic, co mogłoby utrudnić wykonanie wyroku. Gdy słońce stanęło nad Zatoką, oświetlając mokre od rosy dachy miasta, a dzwony na wieży oliwskiej Katedry wybiły godzinę dziesiątą, z białej mgły na szczycie Karlsbergu wyłoniły się trzy urządzenia drewniane w kształcie rzymskiej litery T, ostro rysujące się na tle białego od gorąca nieba, które można było zobaczyć nawet z odległych dzielnic miasta. Od wczesnych godzin rannych dzielnie krzątało się

przy nich kilku robotników, którzy sprawdzali stabilność całej konstrukcji, umacniali podstawę pionowych słupów, dokręcali śruby, przewlekali sznur przez haki i obręcze, smarowali pętlę szarym mydłem, choć wszystko to było właściwie zbędne, bo fakt, że urządzenia te zostały wykonane przez stolarza z Langfuhr, Johanna Ferbelina, stanowił wystarczającą gwarancję, że nie dojdzie do żadnych zdarzeń nieprzewidzianych. [...]

Już przed ósmą u podnóża Karlsbergu, na łące przed kaplicą św. Jakuba, kupcy z gdańskiej hali targowej roztawili stragany z obwarzankami, kwasem chlebowym, kietbasą pieczoną na wolnym ogniu i skrzydełkami kurczaka oprószonymi tartą papryką, a nieco dalej, przy ogrodzeniu cmentarza, gdzie stanęły chłopskie wozy z Ramkau, Mattern i Bissau, uliczni sprzedawcy, raz po raz przepędzani przez straż miejską, oferowali dzieciom papierowe wiatraczki, blaszane trąbki, baloniki do nadmuchiwania i owinięte sreberkiem kule skaczące na cienkiej gumce, zachwalając swój towar ściszonymi okrzykami. [...] Od strony parku nadciągali rodziny adwokatów, rzeźników, cukierników, restauratorów, właścicieli kawiarni, dentystów i aptekarzy, ostanając parasolami głowy przed słońcem, które wznosiło się coraz wyżej nad grabowym szpalerem Drogi do Wieczności, migocząc rojem odbłasków w parkowych stawach. Piękne panie z białymi parasolkami szły uroczyście w swoich najlepszych kapeluszach u boku mężów w świeżo odprasowanych surdutach, prowadząc uprzejme rozmowy o pogodzie i niedawnych wydarzeniach, które napętniły niepokojem całe miasto. [...]

Już przed jedenastą ulice pod Karlsbergiem i w okolicach Katedry były zatłoczone ludźmi, którzy w tłumie napływającym od strony starego rynku i pętli tramwajowej szukali wozów służb miejskich, skąd podawano w szklankach zimną wodę do picia, zaczerpniętą z beczek obłożonych pokruszonym lodem. [...] Morze głów, podobne do ruszającej się ikry, rozlało się na placu przed Katedrą. Na szczęście wielkie lipy rosnące koło budynków gdańskiej kurii po obu stronach katedralnego placu dawały trochę chłodnego cienia.

[...] Gdy wóz ze skazanym wytonił się zza fontanny na skrzyżowaniu Danziger Chaussee, tam, gdzie zaczyna się park i tory tramwajowe skręcają w stronę Glettkau, tłum zebrany na chodnikach zaczął napierać na jezdnię, by dosięgnąć człowieka siedzącego w żelaznej klatce, która jechała na platformie. Wśród gwizdów i obelżywych okrzyków poleciały kamienie, ogryzki jabłek, kawałki cegieł, garście piasku, grudy gliny, kawałki szkła.

[...] Jakiś młody ksiądz o rozmodlonej twarzy zastonił klatkę własnym ciałem, krzycząc do tłumu: „Módlmy się za duszę tego nieszczęśliwego!”, ale

tłum jego wzniosłe wezwania skwitował tylko gwizdami i odepchnął go od klatki w stronę krawężnika.

Arcybiskup Gertz stał teraz przy oknie w swoim pokoju na pierwszym piętrze budynku gdańskiej kurii i zza szyby, przystoniętej kotarą, patrzył na trzy konstrukcje drewniane wzniesione na Karlsbergu, nad którymi krążyło spłoszone stado białych gołębi, to wzbijając się pod niebo, to spadając łagodnym ślizgiem w stronę sosnowych lasów za Freudenthal.

Gdy wóz z klatką wjechał po pochyłym zboczach na szczyt wzgórze, wymijając pnie sosen i buków, przez tłum przepłynęły nerwowe drżenia, krzyki, przekleństwa i groźby [...] Z miejsc, które tłum zajmował u podnóża góry, widać było tylko małą sylwetkę człowieka, którego wyprowadzono z klatki, wzięto pod pachy, przysunięto do szubienicy. On zaś, mając oczy zastonięte czarnym workiem, potykał się przy każdym kroku, wcale nie wierząc, tylko dawał się przestawiać z miejsca na miejsce jak stomiana kukła, ostrożnie popychany przez urzędnika w ciasnym fraku coraz bliżej sznura zwisającego z poprzecznej belki. Obok środkowego słupa stało parę osób. [...]

Było po wszystkim. Teraz urzędnik w ciasnym fraku odciął nożem sznur, uktuciem igły w policzek sprawdził, czy ciało powieszzonego zdjęte z szubienicy jest martwe, zwłoki wrzucono do płytkiego dołu, oblano naftą i podpalono. [...] Odwracano głowy, gdy wiatr od strony morza prószył w oczy strzępkami zwęglonego ubrania i kłębkami spopielonych włosów. W pobliżu kaplicy św. Jakuba rozległy się oklaski, które szybko zgasły, dalej, przy wysokich brzozech, słychać było czyjeś gwizdy i pełne pogardy wycie paru młodych mężczyzn z dzielnicy Ohra. Koło bramy cmentarza, gdzie stały chłopskie wozy nakryte daszkami z płótna, ktoś wykrzykiwał przekleństwa, wygrażając pięścią nie wiadomo komu, jakby chciał wyrzucić na kimś zemstę, aż funkcjonariusze policji musieli go wciągnąć do samochodu. Ktoś inny wzdychał z żalu, ocierając oczy rękawem kurtki. [...]

Na łące przy kaplicy św. Jakuba ludzie zaczęli się rozchodzić. Zwijano koce, składano plecy rozłożone na trawie, pakowano resztki żywności do wiklinowych koszyków, zapinano płócienną koszulę pod szyją, otrzeptywano suknie ze źdźbeł suchej trawy, zdmuchiwano kurz z kłap marynarek, wycierano spocone czoła chustką, przyczesywano lepkie od gorąca włosy palcami, ściszoną głosem narzekając, że wszystko trwało za krótko i niczego nie można było dobrze zobaczyć, za co winiono policję, Prokuratorię, służby miejskie, a nawet samego arcybiskupa Gertza, który pochyłony do modlitwy, z ręką przyciśniętą do piersi, stał wciąż przy oknie w swoim pokoju na

pierwszym piętrze budynku kurii i zza szyby przystoniętej kotarą patrzył na brudną chmurę dymu, która czarnymi kłębamii wznosiła się nad Karlsbergiem.

Zainteresowanych odsyłamy do tekstów:

S. Chwin, *Dolina Radości*, Gdańsk 2006

S. Chwin, *Hanemann*, Gdańsk 2008

S. Chwin, *Kartki z dziennika*, Gdańsk 2004

S. Chwin, *Panna Ferbelin*, Gdańsk 2011

G. Grass, *Błaszany bębenek*, przeł. S. Błaut, Gdańsk 1991

K. Nowosielski, *Przed pomnikiem; Grudzień* [w:] tegoż, *Uparte oddychanie*, Warszawa 1989

K. Nowosielski, *W Oliwie*, [w:] tegoż, *Codzienna zaptata*, Gdańsk 1983

K. Nowosielski, *Świętojańska, róg Pańskiej*, [w:] tegoż, *Dar zamieszkiwania: eseje o doświadczeniach i wartościach*, Pelplin 2002

A. Pawlak, *** [przez moje miasto...], [w:] tegoż, *Czynny całą dobę*, Gdańsk 1975

J. Samp, *Legends gdańskie. Dawne, nowe i najnowsze*, Gdańsk 2000

M. Tomaszewski, *Marynarka*, Warszawa 2013, www.tomaszewski.edumuz.pl

Widok na Pachotek. Fot. Maciej Moskwa



projekt graficzny i skład
Michał Pecko

zdjęcia
Anna Maria Binińska, Jacek Labijak, Maciej Moskwa, Marek Opitz

redakcja i korekta
Adam Kamiński



Nadbaltyckie Centrum Kultury w Gdańsku
ul. Korzenna 33/35
80-851 Gdańsk
tel. +48 [58] 30110 51
fax +48 [58] 30119 57
sekretariat@nck.org.pl

www.facebook.com/czytaniepomorza



© Nadbaltyckie Centrum Kultury w Gdańsku 2016

